

EMMA POPIK

A glowing blue gate with a person standing in the center, set against a starry night sky. The gate is ornate with two pillars and a central archway. A bright blue light emanates from the center of the gate, creating a vertical beam of light that extends upwards. The background is a dark blue night sky filled with stars and a faint cityscape silhouette. The overall color palette is dominated by various shades of blue.

BRAMY  
STRACHU

**Emma Popik**

**Bramy strachu**

- Nie potrzebujemy bohaterów - powiedział Odźwierny przy bramie Miasta, patrząc obojętnie na Przybysza w zakurzonej ubrani.

- Ale ja zgadzam się umrzeć - odpowiedział obcy.

Deklaracja nie uczyniła na Odźwiernym żadnego wrażenia, już chciał wyłączyć wizję, tym bardziej, że zbliżała się kawalkada samochodów z zerwanymi dachami, od której dobiegały dźwięki ręcznych CB i krzyki pijanych. W tej chwili samochody zaczęły przemykać po jednym, oszołomione narkotykami dziewczyny leżały przewieszane przez drzwiczki, chłopcy wrzeszczeli przez radia, jednocześnie oglądając rozmówców na ekranach, umieszczonych ponad licznikiem prędkości, wskazującym zawsze kilkadziesiąt kilometrów mniej. Jeździli tak wokół Miasta nie mogąc się wydostać poza mury, i szaleli. Odźwierny wzruszył ramionami.

- Synalkowie bogaczy, dziewczyny z dobrych domów, niczego im nie brakuje, ja bym mojemu spuścił takie cięgi, że matka by go nie poznała. Czego chcą, do cholery?!

- Czy są wolni? - zapytał Przybysz.

Odźwierny wzruszył ramionami. - Już ich chyba skomercjalizowali. Był festiwal i sprzedali go telewizji, wybuchły bójki, nie mam pojęcia, kto czego bronił, gdyż Securitas, sprawne, Czarne Mundury...

- Rozumiem - szepnął Przybysz.

- Nie wiem, czemu ci to mówię - usprawiedliwił się Odźwierny, siedząc w swej szklanej klatce tuż obok zapory w bramie, stojącej jak wielka przejrzysta szyba. Nikt nie wiedział, jak wysoko sięgała, dość, że przerwa pomiędzy domami była wypełniona energią, tak tutaj, jak i wszędzie naokoło Miasta, i każdą dziurę zapieczętowano, odgradzając groźny świat zewnętrzny.

Odźwierny, wzruszywszy ponownie ramionami, pokiwał głową, a jego wzrok prześliznął się po cholewkach obcego i w oczach zaświeciło zaniepokojenie, zazdrość, a może i podziw.

- Masz wojskowe buty - głaskał je spojrzeniem - czy przeszedłeś przez tereny objęte wojną?

Przybysz nie musiał potwierdzać. Palce Odźwiernego zawisły ponad klawiaturą komputera wejściowego.

- To nie są buty Sprzymierzonych, ale tamtych - zauważył Odźwierny cicho i dopiero wtedy spojrzął w wielkie błękitne oczy obcego patrzące mu w twarz i gdzieś poza nim. - Ilu musiałeś zabić?

- Nikogo.

- Chcesz powiedzieć, że dostałeś je w prezencie?

- Tak było.

- I może puścili cię wolno?

- Dlatego mnie widzisz.

- A jak przeszedłeś linię walk?
- Zabrał mnie konwój.
- Pomoc humanitarna nie ma prawa ratować ludzi.

Przybysz milczał.

- Może myślisz, że i ja ci pomogę?
- Jak chcesz.

- Ha, ha! - Odźwierny wybuchnął gorzkim śmiechem. - Sądysz, że ode mnie zależy cokolwiek, że jestem panem swojej woli i w ogóle człowiekiem?!

-Tak!

- To ty nie znasz świata! Skąd się wziąłeś?

Przybysz stał spokojnie, milcząc.

- Nie jesteś chyba... Nie masz przypadkiem błon pomiędzy palcami?

Przybysz podniósł ramię w geście przysięgi i pokazał dłoni, na której nie było prawie linii oprócz jednej, czerwonej i głębokiej, która przebiegała od przegubu do nasady palców, kończąc się krzyżykiem, tego jednakże Odźwierny nie widział, odniósł tylko wrażenie, że został jakoś szczególnie pozdrowiony.

Wybuchnął nagle długo skrywaną krzywdą.

- Nie mogę cię wpuścić! Brama jest prywatna i patrz, komputer wszystko rejestruje, liczy każdego, kto przechodzi. Program jest tak opracowany, że sam decyduje, kto może przejść, a ty... Wieczorem szef każe sobie przesłać rejestry, nie ruszając się od swego biurka, ba, nie musi nawet nacisnąć klawisza, urządzenie włącza się samo, on nie trudzi się przecież liczeniem obywateli legalnych, osobników drugiej kategorii i tych poza prawem, czyli nędzarzy, bezrobotnych, azylantów. Możesz mieć tatuaż, kość w nosie, pióra w dupie, poruszać się na protezach przytwierdzonych do autobusu, wpuszczę, nie jesteśmy przecież faszystami! O nie! Nikt nie dyskryminuje ludzi z powodu wyglądu i koloru, no, może troszeczkę, nie powinieneś być, w każdym razie, czerwony, ale musisz mieć konto w banku! A ty masz? Masz?! Nędzarzu, głodny skurwysynie, czyhający, by cię wpuścić, byś mógł łaszac się i popatrując w oczy zanurzyć ręce w gównie, by zarobić na talerz zupy. Bo ile jesteś wart? Tyle, ile możesz zarobić. Wszystko przeliczą na pieniądze.

- Kto?

Odźwierny nagle zamilkł z otwartymi ustami, a potem zrobiwszy nieokreślony gest ręką powiedział:

- Wszyscy. Takie czasy.
- A ty na ile się cenisz? - zapytał Przybysz.

- Dobrze - burknął Odźwierny - wiem, co chcesz przez to powiedzieć. Mogę przecież zawiadomić telewizję - jego ręka wciąż czekająca ponad klawiaturą obniżyła



się. - Wpuszczę cię za bramę, ale wyłącznie po to, by z nimi porozmawiać, jeżeli nie wyrażą zgody, będziesz musiał wyjść.

- Uczynię to.

- Żeby nie musiał cię wyrzucać, bo mam sposoby! Ostrzegam, nie będziesz mógł się pozbierać. - Palce nareszcie uderzyły w klawisze i w zaporze zrobiły się drzwi, lekki ciemniejszy obrys.

- No, włącz! - ponaglił Odźwierny.

Przybysz wcale się nie spieszył stojąc wciąż prosto, nie wyglądało, by zamierzał dać nura do środka, by się dostać do rajy obfitości, nowoczesnej techniki i dobrobytu. Tu ciągnęli wszyscy, nawet z najdalszych stron, nie bacząc na trudy, wiele by dali, wszystko, zaparli się własnej rodziny, kraju i religii, by te wartości przehandlować na wideo i samochód, lecz ten obcy zachowywał się wyniośle, jakby to on robił łaskę, i wreszcie pochyliwszy się, bo był nadzwyczaj wysoki, przeszedł przez próg jednym krokiem i stanął tuż za przejrzystą ścianą energii, wcale się do środka nie pchając.

Bramka zaraz została zamknięta i żaden ślad nie pozostał na kryształowym, falującym polu, a obcy wciąż stał w milczeniu wyższy niż inni, bo może jakoś wyniesiony, nie kwapiąc się wcale, by wejść głębiej do Miasta będącego w duchowym stanie twierdzy oblężonej.

Odźwierny nie miał czasu się nim zająć, gdyż na zewnątrz już stali następni, gotowi dać wszystko, swoją krew i swoje oczy. Byli to dwaj czarnowłosi mężczyźni, prawie chłopcy, ich ciała miały kolor o ton zbyt ciemny, o tę odrobinę, która czyni różnicę, bo kiedy jesteś jaśniejszy, wówczas należysz do białych, opalających się na plaży dla bogaczy, a więc stać cię na wakacje i świetnie wyglądasz w ubraniu z białego płótna, kochają cię kobiety, szczególnie gdy założysz kapelusz typu panama, ale ci zbyt długo przebywali na słońcu czy w brzuchu matki i stali się ciemni i podejrzani.

Stali z pochylonymi głowami, ich brudne filcowe kapelusze ocieniały twarze, a poncha w pasy fioletowe i zielone nie przysłaniały braku koszul, lecz gdy Odźwierny na nich warknął, podnieśli szybko głowy i przybliżyli twarze - zbyt brunatne i przekłete - do przejrzystej szyby, a ich wargi czarne i zwierzęce, jakby psie, rozciągnęły się w triumfującym uśmiechu, odsłaniając trzonowe zęby, żółte i mocno osadzone, a spod poncha zostały wyszarpnięte, jak noże z za paska, dwa duże kawały papieru, wręcz płachty, podklejone plastykiem i niezniszczalne, a na nich były litery w pięknych zawijasach staroświeckiej kaligrafii i widniał u dołu podpis głównego managera, poświadczający autentyczność tych czeków imiennych na dużą sumę, więc Odźwierny nie mógł nic innego zrobić, jak tylko się skłonić znad klawiatury i powiedzieć głośno, sorry, mister, yes, mister, bo taka była jego gramatyka, a palce już mknęły po klawiaturze, rejestrując i otwierając, tym razem całą zaporę, wzdłuż i wszerz, by zniknęły progi i podarte mokasyny nie rozpruły się o nie jeszcze bardziej.

Dopiero gdy przeszli ulicą w dół i zniknęli w blasku bijącym od sklepów, w łunie wystaw sklepowych i polerowanych wysokich klamek, Odźwierny zwrócił się do obcego, jakby nieco zdziwiony, że on tu jeszcze stoi, bo przecież mógł niepostrzeżenie

zrobić jeden krok poza próg wielkiego sklepu, który wcale nie miał drzwi ani nawet przedniej ściany, lecz zamiast nich przejrzystą kurtynę ze światła, a tuż za nią stały na podłodze stopy koszyków i piramidy przedmiotów ułożonych gustownie według kształtów i kolorów po to, by je dowolnie przerzucać, a cierpliwa obsługa o skórze ciemnej lub białej układała je starannie na powrót.

Obcy nie zrobił tego kroku - choć było to łatwe i dla większości oczywiste - by zyskać azyl, jako że sklep ochroniłby najważniejszego człowieka na świecie: klienta, nie szkodzi, że bez pieniędzy i szansy, że da im zarobić, ale niosącego w sobie potencję tysiąca znajomych, którzy przyjdą przez niego zachęceni.

Odźwierny o tym wiedział, godność obcego wzbudziła w nim ulotną refleksję, pomieszaną z goryczą i podziwem, ale musiał być twardym człowiekiem, gdyż mu za to płacono.

- Stój tutaj! - rzucił rozkaz bez sensu i już łączył się z telewizją. Taki Odźwierny zna wiele wejść, bramy są przecież wszędzie, więc kiedy kumpel połączył go ze studiem, „wiesz, stary, zrób mi to”, zobaczył na ekranie uśmiechniętą i śliczną sekretarkę umalowaną jak gwiazda filmowa, piekielnie inteligentną i znającą swój zawód, kiwnął wtedy na obcego, ten pochylając się wszedł do szklanej dyżurki i ponownie stanął spokojnie przy drzwiach, jakby te wydarzenia nie jego dotyczyły, poza nim się tocząc.

Złote powieki sekretarki stały nieruchomo, gdy bezwzględny wzrok badał każdy szczegół twarzy petenta, rejestrując olbrzymie brwi, jak dwa czarne skrzydła i piękny nos, wygięty subtelnym łukiem.

- Masz krzywą przegrodę nosową - zauważyła rzeczowo, wielka uroda Przybysza nie czyniła na niej żadnego wrażenia. - Twoja twarz jest zbyt szczupła, powinieneś zapuścić włosy, by okalały ci policzki, wydadzą się wówczas pełniejsze. Włosy są gęste i wydają się mocne, podnieś je garścią do góry. Czy mógłbyś na nich zawisnąć? - Nie czekając na odpowiedź opuściła powieki w dół, ku jego ustom. - Czy się malujesz, skoro masz takie czerwone wargi? Nie? Tak podejrzewałam. Żadnej kultury. Otwórz usta, nie tak szeroko, rozchyl je lekko. Dobrze, są bardzo wypukłe, ogólnie akceptuję. A co ma znaczyć ta pionowa zmarszczka obok nich, czy masz wszystkie zęby? - Powieki wciąż się opuszczały. - Zbyt szczupłe ramiona, żyjesz w ascezie, czy jesteś po prostu niedożywiony? Obniż nieco spodnie i pokaż brzuch, twój pępek wygląda na autentyczny, urodziłeś się z ziemskiej kobiety, widzę, że został fachowo zawiązany, mieliście dobrego lekarza, pewnie lepiej powodziło ci się przed przewrotem. - Złote, zimne powieki wciąż się opuszczały. - Zdejmij spodnie - powiedziały subtelne usta - odepnij sprzączkę paska, chcę zobaczyć, jak to robisz. Nie spiesz się tak, nie szarp, kobiety tego nie lubią, odchyl najpierw ten ostry zaczep, zrób to jednym palcem i patrz mi wtedy w oczy, nie zwracaj uwagi na to, że mam wzrok skierowany gdzie indziej. Taak, prymitywne. Przytrzymaj spodnie jedną ręką, nieco ukosem, musisz tyle samo odsłaniać, co zakrywać, właściwie ile masz w zwodzie? No dobrze, nie mów, i tak wiem, to mój zawód i oni wiedzą, za co mi płacą. Jeżeli chcesz zostać kupiony, musisz więcej wiedzieć o możliwościach swego ciała.

- Przyszedłem, aby za was cierpieć - powiedział Przybysz.

- Musi to być jednak dobrze zrobione - odpowiedziała, już odwrócona do wideokomputera, by połączyć się z szefem; nawet nie powiedziała obcemu, że może podciągnąć spodnie i zapiąć pasek wtykając kolec od sprzączki w dziurkę szybkim, niedbałym ruchem mężczyzny, który się po prostu ubiera.

Ekran w głębi się rozjaśnił pokazując obszerne studio. Ostre światło reflektorów stojących po okręgu oświetlało perską otomanę zarzuconą dywanem, na której leżała naga para, mężczyzna na kobiecie, wsparty łokciami, tuż obok jej piersi odchylonych na boki, o sutkach pokrytych czerwoną szminką, całował ją tak, by jednocześnie pokazywać język i udawać, że nie dotyka jej ust starannie umalowanych i lśniących, gdyż błyszczki imitujące ślinę szybko wysychają i trzeba przerywać zdjęcia na poprawianie makijażu.

Szef stał na środku, olbrzymi mężczyzna z komórkowym wideofonem, zbyt małym i nienależnie w umięśnionej ręce, jego postrzępione szare włosy wichrzyły się wokół głowy niby szalona aureola z pierza, lecz jakoś żałośnie kończyły się na karku, ujęte w gumę. Stał w rozkroku w podartych džinsach, nosząc je jak wszyscy reżyserzy na całym świecie.

Oryginałem i trochę, oczywiście, nieprzystosowanym do społeczeństwa musiał być, gdyż to się dobrze sprzedawało i tego oczekiwała publiczność, a poza tym, do cholery, klient musi wiedzieć, z kim ma do czynienia.

Reżyser słuchał relacji sekretarki, popatrując na wideofon, i bez wątpienia właśnie oglądał film nagrany podczas rozmowy z obcym, odpięcie paska i opuszczenie spodni, przyglądał się ciału z fachowym skupieniem, kalkulując, co się da zrobić z tego materiału. Trwało to pewną chwilę, toteż kamerzysta za jego plecami pozwoilił sobie zdjąć z uszu słuchawki, a na ten sygnał chłopak lekko zeskoczył z dziewczyny, wyrzucając z siebie głęboki oddech i rozluźniając mięśnie. Usiadł na brzegu kanapy i zza oparcia wyciągnął butelkę wody mineralnej, pił przechylając się do tyłu, mimo to trzymał uda razem, chociaż ich wnętrze i wszystko, co tam miał, pokrywała dokładnie naciągnięta, niewidoczna folia, zapewniająca ochronę absolutnie niezbędną w pracy, której warunki nie były łatwe, gdyż światło, żar i kurz powodowały częste egzemy, a charakteryzatorki szczotkujące tam włosy, pracując na tempo, często całą dobę, unosiły mu to niedbale, biorąc w dwa palce o ostrych paznokciach, zadrapania, szczególnie na samym końcu, długo się goiły, tracił więc dniówki i pieniądze.

Zaspokoiwszy pragnienie wręczył butelkę swojej partnerce, dziewczyna wyjęła z włosów miniaturowy telefon, wyglądający jak ozdobny klips, i jedną ręką sięgając po wodę, drugą zacisnęła na czipie, urządzenie natychmiast się włączyło, więc od razu zaczęła wydychać szeptem pytania, „czy przewinięś dziecko, jestem głodna, to się nie skończy przed czwartą rano, kocham cię.” Wyrzuciwszy z siebie tę depezę, bo na więcej nie starczyłoby czasu, przypięła z powrotem aparat przy uchu, który w regularnych odcinkach czasu włączał się na odbiór, więc w trudnych chwilach zmęczenia wsłuchiwała się w uspokajające sygnały z domu, oddech śpiącego dziecka i człapanie

kapci męża. Potem długo piła, wprawnie wlewając strumień wody na język, tak by z warg nie spłynęła szminka.

Obraz studia nagle zniknął, gdyż reżyser podjął decyzję i natychmiast wyłączył wizję, gdyż płaci się za każdą milisekundę na antenie, co komputer dokładnie wylicza, a Odźwierny i obcy zobaczyli na ekranie wideofonu obraz nie dla ich oczu przeznaczony: piękna sekretarka rozmawiała z człowiekiem stojącym przy drzwiach jej biura, tłumacząc dobitnie jakąś sprawę, tak jakby odganiała natręta broniąc stanowiska telewizji, w istocie rzeczy nieuczciwego, lecz jej twarz pozostawała nieruchoma i nie wyrażała gniewu, kobieta była rzeczowa, gdyż nie mogła sobie pozwolić na ujawnianie uczuć przy załatwianiu biznesu, co wymagało spokoju, a poza tym niecierpliwym skrzywieniem twarzy nie wolno było niszczyć urody stanowiącej wymierny atut w utrzymaniu pracy i zarobków. Gdy stwierdziła, że jest na wizji, nacisnęła guzik i twarz petenta pokryła mgłą, czyniąc go nierozpoznawalnym, a ona powiedziała szybko - Stwierdziliśmy, że może być z ciebie materiał. Jeżeli znajdzie się sponsor, zrobimy przedstawienie. Wejź do Miasta na trzy dni - i natychmiast się wyłączyła.

Skinąwszy głową piekielnie zajętemu Odźwiernemu, który nawet nie miał czasu odwrócić głowy, Przybysz odszedł nie spiesząc się, kroczył pewnie ulicą w dół, jakby wiedział, dokąd zmierza, a przecież nie mógł znać Miasta.

Drzwi są otwarte - rzekł głośno Przybysz, stając na progu. Z ciemnej głębi mieszkania wybiegła kobieta i zatrzymała się przed nim, przełykając ślinę ze strachu. Drobną, w krótkich szortach do połowy opalonych ud, bosa, w luźnej koszulce na gołą skórę, zupełnie bezbronna i chuda, postawiła jedną stopę na drugiej i pocierała nią nerwowo, dysząc, co ma zrobić, bała się, och, jak strasznie. Bez szans wobec mężczyzny, zaskoczona jak ptak, bo taki mówi, „nic ci nie zrobię, tylko nie krzycz” i potem torturuje długo i bez potrzeby, dla samej radości męczenia, a może i z wściekłości, że ona trzyma w domu tylko parę groszy na bieżące wydatki, i kiedy wreszcie tak się podnieci swym okrucieństwem, że już może tę kobietę zgwałcić, nie przynosi mu to wcale ulgi, więc musi ją zamęczyć, choć to tylko powiększy jego szal.

Ale ten stojący przed progiem milczał i zdołałaby nawet zatrzaskać drzwi, ale to mogłoby go rozjuszyć, więc jej stopa ocierała się tylko coraz szybciej o drugą w przerażeniu.

- Może zamek się zepsuł - rzekł łagodnie.

- Kazałam wstawić nowy.

Przełknęła znowu ślinę i nieposłuszną stopę przycisnęła z tyłu nogi. Jeszcze nie była pewna intencji obcego. Ale odważyła się przenieść wzrok na drzwi i wyprostowanym palcem nacisnęła zaczep, schował się, lecz zaraz wyskoczył. Zrobiła to jeszcze raz i potem wielokrotnie coraz szybciej.

- Popsuł się, jak to! A dali mi gwarancję! Wszystko jest takie tandetne! Marne, słabe i oszukane! - Wzdychała ciężko, jakby to zdarzenie było ostatnim w paśmie przeciwności. - Wszystko ciągle się psuje, ponawiam reperacje, to kosztuje majątek i wciąż mnie zajmują te głupstwa.



- Wystarczy torba z narzędziami...

- I dwie męskie ręce - uzupełniła, unosząc ramiona w geście poddania się. Miała wyjątkowo małe dłonie, pokryte skórą jak bibułka.

- Mogę to naprawić.

Musiałyby wezwać ekipę, tak nazywano faceta z kostkami części wymiennych w torbie, który musiałby pofatygować się i przyjechać, co tylko klienci uznawali za oczywiste, i doliczyłyby sobie za dojazd, co uważała za nadużycie, gdyż ten rodzaj pracy wymagał chodzenia po domach, ale w tych czasach nawet lekarze podnosili stawki za brudzenie rąk krwią, w dodatku czekałyby wiele godzin, a może nawet do następnego dnia. Typ zabłociłby dywan, paliłby tanie papierosy i może by się do niej zalecał, nie czując obecności mężczyzny w mieszkaniu. Wiedziała o tym, właśnie tak się działo, w tych dniach upadku i degradacji.

Stała wzdychając i nie mogąc się zdecydować, już nie patrzyła na obcego ze strachem, nie czynił wrogich gestów, nawet nie zamierzał wejść, może po prostu szukał pracy, pewnie tak było. Nagle z głębi mieszkania odezwał się dźwięk wideofonu. Zareagowała jak podcięta batem, rzuciła wzrokiem na zamek i na człowieka, drzwi by się nie zatrzasnęły, on stał, jakby czekał, aż pozwoli sobie pomóc, dźwięk wydawał się natarczywy, otwierała usta, by coś powiedzieć, jakieś „nie skrzywdź mnie, błagam, widzisz, jestem u kresu” i ten dzwonek, dzwonek.

- Słuchaj, od tego zależy... - niepewnie spojrzała w stronę szafki z narzędziami, oddychając wciąż ciężko i szybko, dłużej nie mogła czekać, zakręciła się na bosej pięcie i wchłonął ją ciemny przedpokój.

Wyszukiwał odpowiednie narzędzia spośród stosu różnych przedmiotów, czyniąc to niespiesznie i tak, aby nie hałasować. Po tamtej stronie wideofonu padło kilka twardych zdań i aż tu dobiegał go ciężki oddech kobiety, która łąpała powietrze wciąż szybciej, jak tonąca.

- Nie zapłacicie! - krzyknęła. - Mamy umowę.

Po kilku sekundach milczenia, gdy dano jej leniwie wzgardliwą odpowiedź, wybuchnęła oburzeniem. - Przecież daliście słowo, wykonałam dla was pracę.

Zamarł z narzędziem w ręku, jakby bojąc się zagłębić ostrze w miękkiej materii plastyku, by wydobyć na wierzch bezbronne wnętrze urządzenia.

- Zmieniście profil?! Tak po prostu.

Musi jednak to zrobić, bo gdy ona skończy rozmowę, poczuje się oszukana i w jeszcze większym zagrożeniu. Aż tu dobiegał jej oddech tak szybki, jakby biła ramionami o powierzchnię wody tonąc. Trwało to chwilę, aż nagle umilkła. Nikt z nią nie rozmawiał, była sama.

Zamek tkwił wbity mocno w plastyk, zaczepiony pazurkami, tylko jego powierzchnia była biała i ślepa, nie dochodziły do niej sygnały ze sterującego komputera, gdzieś i jakoś przerwał się krwiobieg impulsów. Trzymał teraz urządzenie na dłoni, małe

i bezbronnie jak wyjęte serce, i patrząc na nie nasłuchiwał, a potem poszedł poprzez milczenie.

Siedziała na dywanie ze skrzyżowanymi nogami, położywszy dłonie na kolanach palcami do środka i patrzyła sztywno przed siebie jak Japończyk przygotowujący się do seppuku. Na dywanie stała otwarta butelka alkoholu, ledwo napoczęta, piła wprost z niej. Niewiele potrzebowała.

- Napij się - powiedziała - a potem możesz mnie zabić. Tak będzie lepiej.

Naprzeciwno, na niskim stoliku stał olbrzymi komputer, w głębi pustego ekranu uwięzło odbicie twarzy, jak jej dusza i życie. Obok stał stelaż z biblioteką twardego dysku w srebrnych kopertach i jeden skaner, wciąż włączony i odczytujący gazety, a modem nieustannie przyjmował informacje z całego świata, rejestrator liczył impulsy jak uderzenia serca.

Tu był mózg tej kobiety i nerwy, które łączyły ją ze światem.

Położył tam popsuty zamek, jakby to było jej martwe serce.

- Czy tak musisz? - wskazał na pracujące urządzenia.

- Mam odłączyć den? Potrzebuję go coraz więcej, aby biec w tym wyścigu.

- Już ledwo dyszysz.

- Ale nie mogę zwolnić, gdyż będą mnie potrącać i popychać, przewrócą i zatratują.

- Dostyc przeciw zdobyłaś.

- Ledwo utrzymuję się na powierzchni. Muszę walczyć, by się nie zdeklasować i nie spaść z drabiny na twarz. Od kiedy nie mamy państwa, ludziom jest trudniej, wszędzie są granice, a człowieka nic nie chroni.

- Ktoś cię oszukał.

- Nie pierwszy raz - podniosła ku niemu twarz zagryzając usta, a potem sięgnęła po butelkę i uniósłszy do ust upiła łyk, westchnęła ciężko, wyrzucając z siebie powietrze, by poczuć ulgę. - Będę cyniczna, gdy powiem, że oszustwo jest wkalkulowane w ten system, rekin pożera rybkę, to jedyne prawo.

- Ale to cię boli.

- Nie zgadzam się na ten świat.

- A powinnaś?

- Tak, żeby przetrwać. Im szybciej to zrobię, tym będzie mniej bolało.

- A jeśli nie podołasz?

- Muszę. Właściwie, działanie agencji można zracjonalizować. Dali ogłoszenie, wykonałam dla nich pracę, skorzystali z niej, lecz nie zapłacili, gdyż przedsiębiorstwo sprzedano, a więc nie ma pracodawcy, który mnie wyzyskał. Proste, czemu ja nie wpadłam na pomysł, by kogoś w taki sposób zatrudnić.

- Jesteś uczciwa.

- Jak zdechła ryba srebrnym brzuchem w górę. - Nagle szarpnął nią szloch, kilka krótkich spazmów, lecz oczy pozostały suche. - Szybko się upiłam. To dlatego, że nic dziś nie jadłam.

- Nie jesteś chyba tak biedna, by głodować.

- Otyłość to znak rozpoznawczy nędzarzy lub stresowców, otyły i tak zaklasyfikowany nie masz szans na utrzymanie się w swej sferze społecznej i łubudu, w dół - kiwnęła się do przodu i byłaby może upadła, gdyby jej nie podtrzymał. Objął ramionami i podniósłszy bez wysiłku, zaniósł na łóżko pod oknem, właściwie materac na podłodze, nigdy niezwijany, gdyż szkoda było czasu niepoświęconego na pracę.

Zaczęła chichotać jak pijana. - Nie masz pojęcia, ilu mężczyznom musiałam dawać dupy, to bardzo śmieszne.

- Nie kochałaś nikogo?

- Nie - powiedziała twardo i przytomnie i zamilkła, czując jego język w swoich ustach, a później mokre piersi. Wydawało się jej, że światło w brzuchu zostało zapalone, „jaki odważny”, myślała, „musiał kochać tysiąc kobiet, jakże mu sprostam” i zaczęła się starać, to było zachłanne i głodne, duże ręce oplecione wokół bioder, czuła się tak bardzo kobietą, a nie narzędziem, „jesteś najważniejsza”, usłyszała szept, „staram się dla ciebie”, więc i ona dawała z siebie wszystko, to było właśnie tak, jak powinno, jak największa miłość świata, tylko dawanie się drugiemu, i to przynosiło radość i szczęście, na świecie nie istniał już egoizm, lecz tylko powierzenie siebie w największym zaufaniu i naturalności, odczuwanie i pasja, jaka niewielu pozwoliła się domyślać swego istnienia, a tylko jednemu lub dwojemu przeżyć.

Żadne z nich nie mówiło o miłości, nie istniały słowa, obywali się bez mowy i pojęć, aż nagle ten mężczyzna, tak jej się wydało, przestał istnieć, zamieniając się w światło, leżało w niej złotymi warstwami niby równoległe, mocno świecące pasma, lekko wypukłe. Zobaczyła jego wysoką postać, był nagi i patrzyła z daleka, choć był tuż, stał wysoko, choć leżał na niej, nie miał niczego pod stopami, choć opierał się na jej ciele, właściwie nie dostrzegła przedtem, jak wygląda, rozebrali się od razu, nie pamiętała tego i nie wiedziała, co robi, nie z powodu alkoholu, lecz jakiegoś innego, więc nie znała tego ciała, ale teraz oglądała je z odległości i nieco z dołu, ten mężczyzna stał na tle nieba, prawe ramię miał wyciągnięte w górę, trzymał łuk, a lewą ręką napinał cięciwę, odciągając ją mocniej ku piersi, a ona się przeżyła, nie drżąc wcale, był boskim łucznikiem z brodą uniesioną w niebo i lekko puścił palcami tę strunę, a strzała, której wcale nie widziała, pewnie poszybowała w słońce, któreś z nich krzychało: „nie skrzywdziłem cię, nie, powiedz”, nie mogła odpowiedzieć, roztopiona w świetle, nie istniała wcale. Sen, potem sen, który po raz pierwszy w życiu nie był bratem śmierci, lecz spokojną ciemnością.

Obudziła się rano, może o czwartej, i patrzyła jak spał, lekko rozchylone różowe wargi i pionowa zmarszczka pomiędzy brwiami. Leżał w dziwnej pozycji, na boku, z ramionami podniesionymi ponad głową i skrzyżowanymi w nadgarstkach tak, jakby były związane sznurem, obie dłonie zaciśnięte w pięści, bronił się przed czymś, nogi

podwinięte, jakby klęczał, lecz głowa uniesiona, nie poddał się wcale, mimo różowej wyściółki ust, wilgotnej i zupełnie bezbronnej, wydało się jej nagle, że ktoś biczuje jego plecy, zadając mu torturę, a on to wytrzyma, pod powiekami gałki oczne poruszyły się w wielkim cierpieniu i obróciły w górę, w niebo, jakby tam szukały odpowiedzi i uzasadnienia.

Wideofon zadzwonił, więc zerwała się szybko i naga przebiegła przez pokój, krusząc stopami ogłoszenia o pracę, której wciąż miała za mało, by się utrzymać na powierzchni. Były to najtańsze gazety, z grubego żółtego papironu, więc kruche i się łamały, a po trzech dniach ulegały samoistnej dezintegracji, zamieniając się w kurz, ale jej maszyna do sprzątania świeciła nowością, stojąc w kącie. Należało pracować, by znaleźć swą wielką szansę zostania zauważonym przez znaczące przedsiębiorstwa, agencje, które mogłyby kupić jej talent i umysł, a także nabyć potencję komputera i zawartość twardych dysków w srebrnych kopertach, mieszczących wszystkie informacje świata, nieustannie spływające niebieską strugą elektronów.

Teraz jej bosa stopy kruszyły gazety leżące na podłodze, przełamując na pół słowa „wykwalifikowany” albo „z dobrą prezencją”. Stała przed ekranem wideofonu nie myśląc o nagości, lecz jedynie o fryzurze, uniosła ramiona do głowy, splatając na czubku węzeł i nie była ubrana nawet we włosy.

Na ekranie widziała studio, na środku podłogi stał reżyser w kurtce ze śliskiej czarnej skóry, zapięty pod szyję i gładko lśniący, w olbrzymiej dłoni trzymał wideofon komórkowy, zakres na cały świat, krótka antena sterczała nieprzyzwoicie na tle pustej kozetki, z której ściągnięto perski kilim i nie leżały już na niej ciała, brzydkie i zwiędłe mimo szminek, dochodziła 4.15.

Obrzucił ją spojrzeniem i głęboko osadzone oczy, ukryte gdzieś pod brwiami i niewidoczne, jeszcze ściemniały na widok skóry mokrej od potu i wrzącej od snu i tego, co się przedtem poruszało wewnątrz jej ciała. Nie powiedział nic widząc szczegóły z wprawą i to było jawne, że ma przed sobą kobietę ulegającą szaleństwu i powolną mężczyźnie we wszystkich jego pragnieniach. Milczał chwilę i wtedy postanowił, bo może pot tamtego mężczyzny, jeszcze klejący się do ud, doszedł do jego nozdrzy i zapragnął dobiec do niej na czterech łapach, więc nic nie mówił przez chwilę, gdy zawijała włosy.

Znała go, oczywiście, jak wszyscy, był potężny, nie tylko ciałem i wiedział, że jest ziemski i odrażający, a ta kobieta byłaby dla niego tylko na jeden raz i nawet nie wzięłyby jej do restauracji, zdawał sobie z tego sprawę, była z niższej niż on sfery, pętała się po przedpokojach telewizji zasypując wszystkich ofertami, czekając, by ją przedstawiono komuś znaczącemu, miała talent, pewnie, takich kobiet wiele otrzymano w spadku po czasach, kiedy wykształcenie było za darmo, więc postanowił ją kupić od razu, nie płacąc ze swego portfela.

- Otwieramy ci kredyt.
- W jakiej wysokości?
- Na ile się cenisz?

- Aż tyle nie masz - powiedziała ostro, choć nie powinna.

- Bądź rozsądna.

- Co kupujesz?

- Scenariusz przedstawienia.

- Na temat?

- Wędowny siłacz sprzedaje swoje mięśnie.

- To nie jest problem, lecz fakt.

- Ostra jesteś.

- Podbijam po prostu kredyt.

Pomyślał, że może zabierze ją jednak do restauracji i może to być nawet „Palace”.

- Ale on chce umrzeć za nasze pieniądze.

- Załatwicie to legalnie?

- Nie twoja sprawa.

- Termin? - zapytała, przygryzając palec wskazujący, dotykała końca językiem trzymając go nieco krzywo tak, jak się oblizuje skórę przy paznokciu. Pierwotność tego gestu i naturalność zupełnie go pokonała, ta kobieta była mokra i bez szminek, dopiero co wyszła z barłogu i skopanych prześcieradeł.

- Jutro - powiedział, mając co innego na myśli.

Oblizywała koniec palca, wysuwając język aż na dolną wargę, zamyślona, już rozważająca temat w półmroku zasłon, stała przy oknie, poranne światło rozpraszało kontury ciała, wydała mu się nierzeczywista, pomyślał, że nigdy jej nie pochwyci zębami i szybko się wyłączył.

Przebiegła przez kruszące się gazety, żółte i rozpadające się pod piętą na nierówne kawałki i stanęła przed łóżkiem, patrząc na plecy mężczyzny, odcinały się na nich trzy długie krechy, lekko wygięte i wychodzące z jednego punktu. Wyglądało to tak, jakby ktoś stał kiedyś po jego prawym boku i bił go systematycznie batem, okrutnie trafiając wciąż w to samo miejsce. Blizny były białe i w węzły. Mężczyzna spał cicho, trzymając głowę na prawym ramieniu, jego włosy były nieskazitelne, jakby wcale nie szedł przez sen, twarz blada, nawet żółtawa, niby woskowa, „to z powodu światła”, pomyślała, gdyż przez chwilę wydał się jej nieżywy i już uczesany po śmierci.

- Kto cię tak zbił? - zapytała, oddychając ciężko, gdyż czuła, że gotuje się w jej płucach powietrze, gdy się nad nim pochyla.

Odwrócił się w jej stronę, otwierając wielkie niebieskie oczy i patrząc na nią łagodnie.

- Nikt. Nie pozwoliłem się bić.

- Masz jednak blizny.

- Pojawiły się w dniu moich urodzin, zimą. Chyba je przywlokłem z poprzedniego życia.

Potem założył bawełniane spodnie wprost na gołą skórę, brzeg koszuli wsunął pod pasek, niedbale, tak jak to robią mężczyźni, zupełnie nietelewizyjnie i podniecająco, a ona zapragnęła mu przynieść buty, lecz stały obok łóżka, więc je wzuł, zapinając na wiele zaczepów. Były wspaniałe.

- Jak je zdobyłeś? - spytała z łazienki biorąc prysznic. Podstawiała otwarte usta pod wodę, gdyż powietrze wciąż w niej wrzało.

- Szedłem bosso przez tereny zajęte wojną.

- Dlaczego bosso?

- Ktoś poprosił mnie o buty, był to stary człowiek i miał poranione nogi, szedł z dziećmi, by je wyprowadzić, nie doszedłby nigdzie, a dzieci były zbyt małe, by znaleźć drogę. Tam już nie ma nic, wojna nigdy się nie skończy.

- Więc dałeś mu swe buty?

- Jestem pewien, że doszedł z dziećmi.

Wyszła zawinięta w ręcznik. Bawełniana koszula przecinała w połowie jego szczupłe ramiona, potem łóżko przyciągnęło jej wzrok, prześcieradła powtarzały kształt jego ciała, lecz miała sprawy ważniejsze, nie mogła pozwolić sobie na słabość. Należało wydać pieniądze, zanim kredyt zostanie cofnięty. Już ubrana, wyjęła z drukarki prostokątny kawałek plastyku z numerem konta telewizji i włożyła go do kieszeni bawełnianej sukienki zapinanej na guziki, dziecinnej, w drobne, naiwne kwiatki.

Miasto nie zasypiało nigdy, handel trwał nieustannie, bo taka istniała potrzeba. O piątej rano opuszczano restauracje i wylęgali reporterzy, by zbierać szumowiny z nocnego rosołu, drukarze szli na śniadanie, w tylnych kieszeniach spodni tkwiły gazety, dziewczyny zza kontuarów robiły zakupy i niosły bułki dzieciom, a mężom okazynie nabyte tańsze koszule; przedsiębiorcy wyruszali do klientów i już rozmawiali przez CB szukając w kieszeni kluczyków od samochodów, kiwnąwszy głową chłopakowi przechodzącemu z tacą srebrnych foremek chińskich nudli i słodkiej wołowiny, bo nie zrobiono im drugiego śniadania, żony obsługiwały przyjęcia dla ważnych kontrahentów, trzeba było zarabiać coraz więcej, by na to wszystko mieć, i wyścig trwał.

Na progach piekarń siedziały czarnowłose kobiety, tuląc śpiące dzieci, chude ręce wyciągając po grosze, bo to było wszystko, co świat mógł im dać, wojna nie kończyła się nigdy, kochały ją rządy sprzedające broń w czasach recesji, co się przecież liczy, no nie, i dyplomaci, robiący kariery przy szampanie podczas negocjacji trwających latami.

Kobieta szła obok mężczyzny i kroczyło się jej jakoś lekko, jakby frunęła, pomyślała, że to z powodu spędzonej z nim nocy, kiedy jej ciało poczuło ulgę, a może była inna przyczyna, ukryta i przez nią nienazywana. Minęli bezdomnego, olbrzymie, tłuste cielsko w sztywnych od brudu lachach, był to taki, co przechodzi milczkiem przez bar i nie patrząc na nikogo szybko chwyta frytki pozostawione na tekturowym talerzu i wpycha je do dziury ust czarną łapą, dławiąc się połyka, zanim nie podbiegnie sprzątac



w czerwonej czapce i nie pokaże mu kciukiem drzwi, nikt na niego nie patrzy, nikt go nie żałuje, nawet on sam. Kobieta szła niemal się unosząc, wstawało słońce, w powietrzu zawirowały słupy kurzu, światło przeszło na skroś przez jej sukienkę, była jak chmurka.

- Biedni kupują odzież i przedmioty zapewniające rozrywkę - powiedziała, gdy stanęli przed otwartymi drzwiami sklepu. - Zaspokajają marzenia, a więc nareszcie lepszy zegarek i aparat fotograficzny dla starszego dziecka, mechaniczne zabawki dla maluchów.

- A ty kupisz narzędzie pracy, by zarabiać więcej?

- Tak - odpowiedziała.

Nie chciał z nią wejść, zatrzymał się przed drzwiami i ona na chwilę przystanęła, już otwierając usta, by zapytać, czy go zastanie w tym samym miejscu, lecz tylko odetchnęła nim jeszcze raz głęboko i przymykając oczy przekroczyła zaporę blasku niknąc.

Tym dwóm typom spodobały się jego buty, dojrzeli je od razu, lecz się kryli za niskim murkiem i pudłami na śmieci spierając się, któremu z nich przypadną, on widział ich ogolone głowy z prostokątami odrostów ponad uszami, czaszki w bliznach zaczynających się od bezwłosych brwi, usuwanych codziennie kremami razem z brodawkami, piegami i wszelkimi skazami, gdyż one dowodziły cielesności i pożądań, więc ciała mieli jak ze szkła. Będąc samą tylko wolą i czystością, nieśli sprawiedliwość w Sodomie, należąc do starej rasy bezlitosnych, tak o sobie myśleli.

- To becyk - słyszał ich słowa, znaczyło to nie-obywatel, „bezcitizen”. Rozmawiali w polgermanie, mieszaninie dwu języków, słowach niemieckich z polskimi końcówkami, mogłeś mówić, jak chcesz, mowa rozwijała się równie szybko jak ten świat, niemający wcale jakości, lecz ilość.

- To buty Sprzymierzonych.

- Nikt takich nie ma - rzekł drugi.

- Należą do Armii Świata, jak wytłumaczy, skąd je ma?

- A ten becyk się nie tłumaczy, myśli, że jest lepszy od nas.

- Trzeba go spoziomować.

- Może to dezer?

- Stamtąd nie można uciec.

- On jednak...

- Na pewno je ukradł, naszym obowiązkiem jest wymierzać sprawiedliwość.

- Tak! Będziesz nienawidził obcych!

- Mamrotów i niemcawych, mojęszrawców i katolników.

- Przysięgamy!

Uderzywszy się wzajemnie pięścią o pięść, wyszli zza śmietników przypominając dwa roboty z włókien szklanych. Odzież nałożona farbą w spraju przylegała do mięśni, pomalowali ją we wzory tak, że ich ciała utraciły formę. Jeden nakreślił sobie

kwadratowe piersi i sękaty bicepsy, drugi był ciotowaty i miał ciało jak kłajster, toteż zrobił na nim kontury czerwone, z czarnymi cieniami i dopiero w ten sposób to zaistniał, ale obydwaj mieli krótkie portki, kolarki, gładkie i śliskie, niekryjące niczego, dodatkowo namalowali sobie dwa olbrzymie członki, fioletową farbą, zupełnie monstrialne i dźwigali je przed sobą, gdyż wszystko już było na pokaz i na sprzedaż.

- Ty, becyk! - rzekł ciotowaty.

- Komu ukradłeś te buty?

- Oddaj je, bo wezwiemy Securitasów.

- Wezwijcie - rzeki spokojnie Przybysz. Stał opierając się lekko plecami o ścianę, właściwie tylko barkiem, jego długie ramiona zwisały luźno wzdłuż bioder, były nadzwyczaj szczupłe, same mięśnie obciągnięte skórą. Gdyby na nie spojrzeli, powinni się zastanowić widząc system żył, a pod nimi wąskie zwoje rzemieni wielokrotnie zwiniętych, które się napięły przrastając i stały się kamienne.

Ciotowaty, bardziej histeryczny i z kompleksami, które były w nim czarną dziurą wciąż pochłaniającą zło i jego samego, zaatakował pierwszy. Żaden nie wiedział, jak to się stało i nie zauważył nic oprócz tego, że kumpel ruszył prawie jednocześnie i obydwaj natknęli się na coś tuż przed szczupłą postacią, nie zdali sobie sprawy z tego, że są to jego ramiona, wydawały się tak długie i szybkie, zostały wyrzucone do przodu niewidocznym ruchem, ciemnym i ciężkim, więc odpadli czując ból, chyba musiał ich uderzyć, skoro stracili oddech i stali z rozdziawionymi ustami, usiłując złapać powietrze.

Obcy stał w tym samym miejscu, już nie był oparty o ścianę ani wyluzowany, przerastał ich o głowę, nawet więcej, o piętnaście cali, lecz nie patrzył ponad nimi, a jego oczy, zawsze błękitne i łagodne, o miękkim spojrzeniu, iskrzyły się modro, intensywnie i przejrzyście, choć nie były złe ani nawet zagniewane, lecz koncentrowały siłę, jak drogie kamienie. Wydawało im się, że wydzielają ostry, biały blask, ale to przecież bzdura, jednakże to światło białe, jak przy spawaniu, było niby materia. Ciotowaty, histeryczny, pobiegł na róg po Securitas, z powodu kompleksów czuł się zelżony, „żeby jakiś becyk na obywatela Miasta, w biały dzień, na środku ulicy, co za hańba, gdyby kumple z anarkii zobaczyli, przecież ktoś może donieść, ludzie mają oczy i nigdy nie wiesz, kto na ciebie patrzy, wydaje się tobie, że jesteś anonimowy w tłumie, o nie, wszyscy się znają i jedno wydarzenie ma tysiąc stron”.

Mundurzy szły rytmicznie, zawsze po trzech, paski pod brodą i hełmy, nie wiadomo, co się może wydarzyć, w końcu trwa wojna naokoło, w każdej chwili działania mogą się przybliżyć, nie wiadomo, kto jest kim.

Sękaty stał już z zamkniętymi ustami, był bardzo blady, wydawało mu się, że zamiast żołądka ma wielki róg, który wciąż rośnie, i to do środka, przebija go i on wewnątrz krwawi, sływa mu ciepła strużka, musi być kleista i słodka, gdyż czuje ten smak w zlepionych wargach.

- Jak długo będziesz w Mieście? - zapytał jeden z mundurów.

- Wieczność - odrzekł obcy.

- On z nas kpi.

- Powiedziałeś.

- Bezczelny! - wrzasnął histerycznie ciotowaty, ale i jemu zaczęło się robić niedobrze, dostał przecież w splot słoneczny. Zbladł i trzęsły mu się wargi.

- Zrobimy ci zdjęcie - rzekł pierwszy mundur.

Obcy stał tuż przed ścianą, jakby pod murem egzekucji, i patrzył ponad ich głowami, lekko wzgardliwy, jak im się wydawało, ramiona opuszczone luźno wzdłuż tułowia, ale ci dwaj, ciotowaty i sękacz już ich się nie bali, będąc pod opieką.

- Bierzemy go! - rzekł drugi wściekle, z nagle wzbudzoną agresją.

- Wynocha! - warknął trzeci. - Za mury. Żeby noga twoja nie postąła w Mieście. - I niespodziewanie, nikt nie zdążyłby zareagować, wystrzelił ku obcemu, nie aby zabić, lecz sparaliżował mu ręce. Była to nowa broń, wyglądająca jak tradycyjna pałka, od pewnego czasu przydzielana straży, by nie drażnić obywateli, szczególnie bogatych, których dzieciaki rozbijały się w staroświeckich autach, wrzeszcząc i pijąc. Czasami straż musiała reagować, czyhała na to prasa, niedobrze było, gdy w gazetach pojawiał się syn ważnej osoby, zasłaniający twarz rękami o skutych nadgarstkach. Więc wymyślono ów klej paraliżujący ruchy, nieszkodliwy, zupełnie przyjemny, tylko nie mogłeś się ruszyć i twoje ramiona były jak dwa sztandary na deszczu.

Ciotowaty zauważył, że te stalowe dźwignie są jak odłamane w barku i obcy nie ma siły ich dźwignąć, więc otarł usta, gdyż właśnie zwymiotował, nieomal na buty strażnika, i podskoczył głupio i niezręcznie, wręcz karykaturalnie. Trzasnął obcego w policzek. Nie trafił w szczękę i miał szczęście, gdyż wyłamałby sobie nadgarstek, lecz uderzył w strzelistą kość policzkową, pozostawiając na niej czerwony, okrągły ślad. Głowa tamtego tylko lekko się odchyliła pod straszliwym, jak się ciotowatemu wydawało, ciosem.

Pierwszy strażnik zrobił już zdjęcie, jego ręczny komputer kodował się sam, nie zauważył ataku, oczywiście, drugi właśnie patrzył, czy akurat ktoś nie nadchodzi, nie było nikogo w ruchliwym centrum, trzeci poprawiał pałkę, tę, którą unieruchomił obcego, nikt niczego nie widział, nic się przecież nie stało, to becyk.

- Zabieraj się! - rzekł pierwszy.

- Trzeba go zatrzymać. Jest niebezpieczny.

- Mamy piwnicę. Nigdy z niej nie wyjdiesz - dodał trzeci, którego agresja, nie wiedzieć czemu, dziko wzrosła.

Popchnęli go, właściwie uderzyli w plecy, by ruszał przed siebie, donikąd i na zatrąte, nie miał praw, nie trzeba było się z nim liczyć. On był nikim, nawet nie miał imienia, więc nikt się o niego nie upomni, można wiele. Przypomniał sobie ostatnią przygodę nazywaną przywracaniem porządku: wpadli na festiwal młodzieży, wolno im było ich rozgonić i spałować, skopać każdego, kto się nawinał pod but, to jest fajne, wtedy się żyje, rzuca się o glebę dziennikarzy, kamery w piach, no to co, że przedostały się jakieś zdjęcia, ludzie to śmieci, myślą tylko o tym, by przeżyć. Więc jeżeli można

pobić tych, którzy śpiewają na festiwalu i są niewinni, ale przedtem się ich sprzedawało, świat jest już zupełnie sprostytuowany i kurestwo stało się normą.

Obcy upadł na kolana, jego głowa się pochyliła, gdy żelazo waliło go w plecy, „wybaczam wam”, chyba tak powiedział, a może „wybaczcie” i to było skierowane do chłopaków. Nimi też nikt się nie zajął, to przecież tacy, wiecie, z namalowanymi penisami, nie uznają żadnych norm, nie wiadomo przeciwko czemu się buntują, więc skoro świat im się nie podoba, a wszystko chcą rozbić, to niczego w zamian nie muszą dostawać. Głowa obcego pochyliła się jeszcze bardziej.

- Przestań! - krzyknęła kobieta wbiegając pomiędzy strażników. Byli już dzicy i nieomal oszaleli od tego bicia, człowiek ulega wtedy pewnemu stanowi i nie może nad sobą panować.

- Spróbuj mnie tylko tknąć! - stała naprzeciwko trzeciego, patrząc mu w oczy, był właściwie chłopakiem.

Prostota jej sukienki go zahamowała. Na przedmieściu, gdzie mieszkał, dziewczyny nosiły pióra i szmaty z lady Armii Zbawienia, przemknęła mu myśl, że widział takie jak ta sukienki na manekinach, nieskazitelne, skrojone co do milimetra, każda z nich musiała kosztować miesięczne pobory całej jego rodziny. I jeszcze coś go wstrzymało. Prostokąt białego plastyku, który ta kobieta trzymała po prostu w ręce niby kartkę papieru. Nie miała żadnej torebki, inaczej niż jego matka, nosząca ze sobą cały swój majątek, kosmetyki, drugie śniadanie i zapasowe majtki. A ta, tutaj, nie potrzebowała niczego, wszędzie mogła sobie poradzić, wszystko kupić i otrzymać każdą usługę. Cyfry! Tak, na tym kawałku plastyku był długi ich rząd. O, na to ich uczulali na wszystkich szkoleniach, więc się zatrzymał, jego pałka, przełączona już na razy mechaniczne, zawisła w powietrzu, a potem opuścił powoli ramię.

Ta kobieta nie krzyczała, wypowiedziawszy dwa zdania stała spokojna i nawet niezagniewana. Wymuszała posłuch, wiedziała doskonale, że nikt się jej nie sprzeciwi. Na jego przedmieściu baby ciągle wrzeszczały, a wszyscy nieustannie musieli okazywać sobie wrogość zaciśniętymi pięściami i wściekłym wzrokiem. Rozejrzał się, dwaj jego koledzy również się opanowali. Pierwszy nawet się pochylił, by unieść obcego, a wtedy ona wykonała dwa lekkie gesty: wyprostowała prawą dłoń tak, jak się dziękuje kierowcy, gdy się przed tobą zatrzyma na przejściu dla pieszych, jednocześnie nieco uniosła kąciki ust, niby w uśmiechu, „o, zbytek łaski”, to właśnie miał wyrażać. Więc stali we trójkę nieruchomo, schwytni na słabości.

Obcy się podniósł opierając pięścią o kolano, i spojrzał na nich z góry. To był straszny wzrok, niebieskie oczy były teraz prawie czarne, odnieśli wrażenie, że się w nich gubią.

Ciotowaty zgiął się i znowu zaczął wymiotować, sękacz stał blady. Poczuli się nagle głupio w swych obcisłych strojach, były przecież napryskaną warstwą farby, termiczną, owszem, i przeciwkurzową, ale składały się głównie z koloru. Ich namalowane penisy nagle zaczęły im ciążyć, stały się niby belki zwisające pomiędzy nogami, lecz oni zostali do nich przykuci i będą musieli je nosić, jak nowożytni niewolnicy, zawsze i

dokądkolwiek pójdą, a one wskazują, że zostali wystawieni na sprzedaż i decydują o ich wartości.

Obcy, wydawało się, pozostał nietknięty, jakby zdążył się od razu zregenerować. Jego płócienna koszula była na w pół przezrysta, musiała zostać utkana na Wschodzie, kobieta teraz to zauważyła i mundurowi również o tym pomyśleli, skąd więc on przybył i kim w istocie jest? Materiał przykleił się od razów pałki, skóra pewnie została poprzecinana, lecz rany już przyschły, płyn komórkowy wyparował, naskórek się zasklepił.

- Chodźmy do ambulatorium - zaproponowała kobieta, bo tylko w taki sposób umiała zdyskontować swoje zdziwienie.

Potrząsnął lekko głową, stojąc wyprostowany, wyglądał zupełnie świeżo w promieniach słońca. Odwrócił się gwałtownie i szybko podszedł do sękatego, który stał blady, czując, że w mózgu nadal wybucha mu bomba, a piersi eksplodują białym ogniem. Czuł zwierzęcy strach, tego nie da się wyrazić, widział śmierć w nim samym ucieleśnioną, nie istniał.

Obcy podniósł lewe ramię w górę, odwracając dłoń wewnętrzną powierzchnią, jakby podstawiając pod niebo, które w nią wpadnie, a prawą położył chłopakowi na głowie. Stał chwilę nieruchomo, bardzo skupiony, wszyscy to czuli. Coś się działo, nikt nie umiał tego określić. Potem się odwrócił i nie zwracając uwagi na nikogo, poszedł przed siebie.

Był to plac. Rzędy ławek, połamanych, bo toczyła się tu bitwa i wrywano z nich żerdzie, rozbite o kolano czy grzbiet i porzucone, walały się wśród puszek i tekturowych opakowań, pustych butelek i afiszy przedartych w pół - przez twarz i słowo „koncert”. Ponad estradą plastikowy dach w czerwone i żółte pasy, podarty, oczywiście, a deski sceny, teraz zupełnie puste, tworzyły gładką i rozległą przestrzeń, przerażającą przez to właściwie, że nie znajdowało się na niej nic. Z pewnością ją uprzątnięto, może nawet ktoś umył, stojąc na krawędzi, gdyż nie miał odwagi przekroczyć brzegu - trzymając wąż gumowy obiema rękami, polewał czerwone kałuże i wpatrywał się nieco bezmyślnie w gęstą krew, nie było jej dużo, ale za to w kilku miejscach, i płyn leżał, jakby nie chciał wsiąknąć i połączyć się z czymkolwiek. Potem już nikt nie wszedł na scenę.

Na placu stały setki samochodów ze wszystkich epok, stadion powoli zamieniał się w cmentarzysko wraków. Przyjeżdżali samochodami z miasta, czasami ukradzionymi, lecz częściej płacili pieniędzmi rodziców, mieli i zarobione, im zresztą chętnie udzielano kredytu, a epoka aut już się skończyła. Porzucali je tutaj, gdy zabrakło paliwa lub jakaś część odmówiła pracy. Siedzieli w samochodach parami i w grupach, rozmawiając z tymi z drugiego końca placu przez wideofon, zazwyczaj na ekranie pojawiała się twarz kogoś spoza Miasta. Nigdy nie wiesz, czy jest to realna osoba, czy tylko postać z gry komputerowej.

„Istniejesz rzeczywiście?” Jeszcze zadawano takie pytania, choć nikt nie oczekiwał prawdziwej odpowiedzi. To właśnie było ekscytujące, świat stał się niematerialny, nic nie było ważne.

Hałas rozmów, zgiełk muzyki, pokruszone kawałki słów we wszystkich językach globu i obrazy, dymiące poświatą znad ekranów w samochodach, wycinały tę przestrzeń, słońce zamykało ją od góry jak klosz i to było jedyne, co mogło ich chronić.

Dziewczyna siedziała na burcie samochodu, odwrócona do niego profilem, gdy wszedł na plac. Jej spiczasta czapka z gazety i szmaty, w które się zawinęła, przypominały coś staroświeckiego, dawnego jak antyk, lecz ze Wschodu. Była dziewczicą i nosiła tylko czerwone kolory. Kiedy się pojawił po przeciwnej stronie, siedziała nieruchomo, ale teraz inaczej, zamarła nasłuchując, jak niewidoma, która nie wykona żadnego ruchu głową, lecz ty wiesz, że cię dostrzega. Trwało to chwilę, potem zaczęła się zsuwać z burty samochodu, niezmiernie powoli wyprostowała lewą nogę i dotknęła nią ziemi, a potem, tak samo niespiesznie, dostawiła prawą. Każdy ruch miał w sobie precyzyjną dokładność, czekała tak długo, tysiąc, czy trzy tysiące lat, obszar tego czasu powiększony o szesnaście lat jej życia nie miał znaczenia. Jeszcze nie odwracała głowy, wręcz przeciwnie - pochyliła ją, jakby nie chciała na niego patrzeć, nie dlatego, że mogłaby się rozczarować, jeżeli się kogoś kocha tysiąc lat lub trzy, wygląd nie ma znaczenia, lecz obecność, spełnienie i ulga.

Odwróciła się gwałtownie, lecz wtedy słońce odbite od lusterka samochodu wpadło jej do oczu i na chwilę oślepiło źrenice, nie widziała niczego, tylko blask i czarno-tęczowe koła latające z wielką prędkością w jej mózgu, w którym nigdy nie było miejsca na nic innego jak na miłosne czekanie. Szła dotykając lekko dłonią samochodów, nieomal się unosiła, wszystko było teraz jeszcze mniej ważne niż zawsze. Nie widziała go zupełnie, nawet zarysu sylwetki zbliżającej się pod słońce, które szalało na jej źrenicach. On kroczył po przeciwnej stronie placu, klucząc pomiędzy samochodami, lecz nie gubił jej nigdy z oczu.

Stanęli naprzeciwko siebie, nic nie mówili.

- To Mada, moja siostra - powiedział chłopak, który wyszedł z samochodu. - Niech pan nie zwraca na nią uwagi, ona jest trochę... To miła dziewczyna, nie robi panu krzywdy. Ma na imię Magdalena, ale w dzieciństwie mówiła na siebie Mada i tak zostało.

Dziewczyna zdjęła z głowy papierową czapkę i trzymając ją oburącz równo i delikatnie, tak jakby to była cesarska korona z brylantów, uniosła do góry, kiedy całkiem wyprostowała ramiona, zatrzymała się na chwilę, a potem takim samym gestem opuściła ją na głowę mężczyzny, dokładnie na jego skronie. Kiedy papierowa korona zatrzymała się na nich, jej ramiona opadły, a potem gwałtownym i szalonym ruchem pochwyciła go za ręce i od razu położyła je sobie na piersi, zamykając oczy.

- Ona nie robi panu krzywdy - szepnął brat, widząc jak szli objęci w stronę wielkiego samochodu należącego kiedyś do naftowego milionera. Ona weszła pierwsza, on za nią, pochylając głowę, i usiadł na kanapie wybitej białą skórą, a dziewczyna na jego kolanach, obejmując je udami, pochyliła się, szybko włożyła mu język w usta z westchnieniem i rozpięła pasek u spodni, nie myśląc nawet, że w tamtym życiu nie nosiło się pasków. Kochała się z nim z wprawą wyrobioną u zażyłej pary, która dokładnie zna



swój rytm, i nie mogła wcale przestać, tylko w przerwach przybliżała twarz do jego twarzy i oglądała go dokładnie, rozchylając usta z zachwytem. Śliniła wskazujący palec i przesuwiała mu po wargach, jak to czyniła zawsze w tamtym życiu. Ten gest musiał jej coś przypomnieć, gdyż w czarnej przestrzeni jej umysłu nagle rozbił się biały fajerwerk i zobaczyła postacie, prześwietlone jak na kliszy. Widziała je, a jednocześnie zaglądała w jego oczy, które były przejrzyste, wyraźnie dostrzegała dno i stamtąd odczytywała ich historię.

Bolało. Otwierała coraz szerzej oczy w przerażeniu, które rosło, gdyż w umyśle pojawiły się tłumy i usłyszała krzyki, stukot młotków i jęki.

Nie mogła tego przeżyć drugi raz, więc jej położył dłonie na oczach i przytrzymał zamknięte, mimo że powieki trzepotały. Umysł się uspokajał, krzyczący ludzie ucichli, ból odpłynął. Ciemność jej umysłu blakła, puste formy napełniały się dzwonieniem i od środka zaczęły się wydrążyć kanały na zewnątrz do świata, wtedy obrazy i doznania buchnęły ze wszystkich stron i znalazła się w rzeczywistości, nie pamiętając niczego z poprzedniego życia, nie wiedząc, kim była i kogo kochała. Nie знаła również siebie i w tym życiu.

- Co zrobiłeś mojej siostrze?

- Ona śpi.

- Czy się zbudzi?

- Już nie taka jak była. Znajdź dla niej imię.

Chłopiec zastanawiał się przez chwilę, stojąc przy samochodzie króla nafty, rozległe siedzenia obite białą skórą wszystkim służyły do tego samego celu.

- Nie jestem pewien, czy zrobiłeś jej przysługę. Ona bardzo cię kochała.

- Strzeżcie się ognia - powiedział obcy.

Dobiegły ich właśnie krzyki, więc chłopiec się odwrócił i po chwili wahania - chciał jeszcze czegoś się dowiedzieć - pośpieszył gasić razem z innymi, bo plac był gęsto zastawiony samochodami. Obcy odchodząc oglądał niewidoczne już ślady, ale je rozumiał.

Wiedział również, że ci wszyscy nie umieli wyartykułować przyczyn, nie potrafili odpowiedzieć, dlaczego uparcie zbierają się tutaj, na placu, gdzie już się nie odbywają festiwale wolnej muzyki, a ci, którzy grają, są nasi, i robią to dla nas, z miłości, i czują tak, jak my, więc żywimy poczucie więzi i wspólnoty, jesteśmy bezpieczni i mamy znaczenie. A kiedy festiwal zostaje bez naszej wiedzy sprzedany, nasi piosenkarze są oszukani i my, mimo że to się dzieje rzekomo dla nas, jesteśmy bici jak zwierzęta w imię czegoś innego, jakichś pieniędzy, by ktoś nie poniósł strat, bo nas kupił, a my mamy tylko rozciągać wargi i się śmiać, raczej nie za głośno, i trzeba klaskać, ale w odpowiednich momentach, bo i to kosztuje; wtedy czujemy, że jest to okropne świństwo i świat już dłużej nie może taki być.

Obcy się nie oglądał.

Kobieta wbiegła do mieszkania i zatrzasnęła za sobą drzwi, nie zamknęły się, pchnęła je ponownie, już idąc przez przedpokój i wyciągając rękę za siebie. Nie odwracając się stanęła, wąpiąc krzywiąc usta, „nikt nie wejdzie, na pewno”. Patrzyła na ciemny przedpokój, pragnąc, by mrok stał się kwasem, który rozpuści jej ciało, by przestała istnieć całkowicie, wraz z bólem, którego doświadcza. „Niech mnie zgwałcą albo zabiją”, zanurzyła się powoli w ciemność, ale nie zaczęła znikać i musiała wejść do jasnego pokoju, gdzie wszystko było wyraźniejsze mimo zaciągniętych zasłon. Starła się nie patrzeć na materac na podłodze i na rozrzuconą na nim pościel, ukazującą ostatni ich ruch, rankiem najpierw ona wstała słysząc dzwonek, on jeszcze spał, otulała go kołdra, teraz leży zsunięta.

„Praca, tak, trzeba pracować”, to zawsze było skutecznym lekiem na wszystko, popatrzyła na swą bibliotekę twardych dysków i leżący na nich zamek, pochyliła się, butelka stała jeszcze na podłodze. „Praca, to bez sensu”, usiadła, odkręciła powoli nakrętkę, „po co pracować tak szaleńczo, dla pieniędzy, oczywiście, a one mi do czego, na piękne sukienki, perfumy, samochód, może wakacje, ale dokąd pojechać i po co, świat wszędzie jest tak samo smutny, status społeczny, taak, nic nie jest ważne, niczego się nie chce”. Wypiła trochę, ale alkohol był cierpki, czuła go w ustach niby czerwone metalowe iskry, przełknęła i wtedy nie namyślając się już, podbiegła do wideofonu.

Kiedy zwalista sylwetka reżysera wypełniła ekran, przestraszyła się, był silny, na pewno zboczony, ale to dobrze, wypełni ją brud i cierpienie i tamto zostanie zabite. Stała tak, by widział pościel na łóżku, powtarzając sylwetkę nieobecnego, jakby już nawet jego wzrok mógł to skazać.

Dwaj w kolorowych ponchach stali przed wysokim gmachem ze sztucznego marmuru, sylabizując słowa ze skromnej tablicy, umieszczonej nieco z boku za szklanym gankiem z lśniących szyb: „Instytut Matki i Dziecka”.

- To nie może być tutaj - rzekł niższy, o ciemniejszej skórze, stojąc z głową spuszczoną, nieco bokiem do budynku, jego palce trzymały kurczowo tkaninę na piersi. - To instytut naukowy, a nie sklep, gdzie kupią wszystko nie pytając, jak mówił pośrednik.

Drugi, wyższy, ze złotym zębem, oparł ręce po obu stronach tablicy.

- On, kurwa, mówił, że tu możemy sprzedać spermę.

- Co by na to powiedzieli we wsi?

- Masz, kurwa, inny pomysł? Zabrał nam papiery z banku, sprzeda je innym naiwniakom. Żreć mi się chce, kurwa, i czegoś bym się napił. Daj bukłak.

- Nie mam.

Wysoki obrócił się gwałtownie wciąż przyciskając tablicę.

- Bo ci przyjebię. - Jeżeli mamy tam wejść, musimy być trzeźwi.

Przystojny obrócił się twarzą do budynku tak samo szybko jak przedtem.

- Może znajdziemy jakieś kobiety?

- Co by na to powiedzieli we wsi?

- To co mamy, kurwa, zrobić?

- Pamiętasz, co obiecałeś narzeczonej?

- Wara mi! - warknął przystojny, pochylając się gwałtownie. Uderzył łbem w tablicę, robiąc to może umyślnie, bo chciał rozwalić ten gmach. Jego ciemne, zwierzęce wargi skurczyły się, obnażając złoty ząb, zbyt słaby, by ugryźć mur, rozkruszyć skamieniałe ciało świata i jego serce zamienione w żelazo.

Kiedy mężczyzna stanął w lśniących od szkła drzwiach, przystojniak nie podniósł głowy, lecz usłyszał milczenie, jego kumpel nic nie mówił i zrobiło się cicho i przestrzennie, ten ze złotym zębem, zastanowiwszy się zamarł z czołem opartym o tablicę, a potem powoli się odwrócił. Obcy stał patrząc przed siebie, jego ręce spoczywały niedbale w kieszeniach płóciennych spodni, miał w sobie luz, powodu którego nie umieli odgadnąć i nie potrafili zachowania nazwać elegancją. Poczuli jednak, że on tu wcale nie powinien być, a jeżeli się znalazł, to nie z nędzy i wcale się nie sprzedał. Miał na ramieniu różowy plaster, jakim się zasklepia rany, i to zupełnie świeży.

- A to co? - wykrzyknął brzydszy, zupełnie zaskoczony, bo nie spodziewał się, że będą ich kaleczyć.

Drzwi za nieznanym zamykały się lśniąć i wtedy ten mniejszy i brzydszy skoczył i wstawił nogę w szparę, co było dowodem wielkiej odwagi, lepiej nie pytać, z którego miejsca na ciele zostanie wycięty kawałek, nawet wolał ból niż seksowne laborantki, które będą mu to robiły, gdy on zasłoni twarz swoim brudnym poncho, bo przecież co by powiedzieli we wsi, nasienie mężczyzny tryskające do szklanej fiolki, zimnymi palcami uniesionej pod światło, by sprawdzić lepkość i konsystencję, gdyż zaraz je trzeba wstawić do maszyny, aby zmierzyć ruchliwość, bo jeśli plemniki nie przejdą określonego odcinka w górę w danym tempie, to cały proces pobierania powtórzy się i nie wiadomo, czy za zapłatą, nikt nie da mu grosza za kiepski towar, skoro tylu jest chętnych. Wprawna ręka pielęgniarki będzie wykonywać ruchy szybkie i zdecydowane w górę i w dół, a on będzie czuł, że między nogami przyssało mu się zwierzątko, jakaś kuna albo coś wodnego, pokrytego śluzem, nie odróżni, czy to jego własny pot i może krew, czy wilgotna ręka, która wcale nie jest ciepłą dłonią kobiety, lecz imadłem, a on czuje, że puchnie i nie może napęcznieć, lecz musi, bo ta maszyna się nie zmęczy, więc musi się jej oddać, bo już mu się wbiła w trzewia jak wirująca śruba, trzeba usta zatkać poncho, by nie wrzeszczeć z bólu. To jest gwałt, ból i hańba. Potem już się nie jest mężczyzną.

Obcy odchodził w słońcu, jego wysoka sylwetka stała się czarna pod światło, oddalał się powoli i jakby nonszalancko, jakby ten świat należał do niego i on był tu zawsze, gdyż w jakiś sposób go stworzył, teraz pozostawił w instytucie kawałek swego ciała, pewną liczbę komórek, a on dokładnie w każdej się zawiera, absolutnie taki sam. Teraz czekają zamrożone w kolbie, ale przyjdzie taki dzień, kiedy jedna z nich zostanie wyjęta, mały nie znał słowa klonowanie, jakaś ziemską kobietą urodzi to dziecko, nie wiadomo gdzie, ale w ten sposób on powróci do Miasta. A co wtedy i wkrótce się stanie? Rzecz straszna i nieodwołalna. Tak będzie zawsze, gdyż Miasto jest wszędzie i dlatego też on, mały i brudny emigrant, może czuć się bezpieczny, gdyż jest wpisany w wielkie

koło losu, nic nie jest głupim przypadkiem, nic nie jest ironicznym czynem szaleńca, istnieje sens i opieka.

Wyciągnął gwałtownie nogę ze szpary w drzwiach, a one zamykały się za nim powoli, sunąc jak złoty szerszeń, tamten drugi stał jeszcze z ręką opartą o tablicę, obrócony patrząc na sylwetkę oddalającą się w słońcu.

Jakiś czas szli za nim nic nie mówiąc, już wiedzieli, że znajdą pracę i będą musieli ciężko harować, gdyż właśnie na to zasłużyli i dokładnie tyle muszą dostać - ani mniej, ani więcej, a kiedy skończy się czas pokuty i próby, już zawsze będą ludźmi.

Kobieta leżała owinięta w prześcieradło jak nieżywa, bo taka w istocie była, mimo że jej organizm funkcjonował. Nie mogła przeżyć krzywdy. Wiedział, po co przyszedł. „Nie potrzeba mi kurew”, powiedział ledwo przekroczywszy próg. Zatrzymał się na środku pokoju, olbrzymi i gorący, wypełniał całą przestrzeń, wręcz ją rozpychał swym potężnym ciałem, czarna kurtka wzdymała się, a z kieszeni na piersi wystawała antenka wideofonu, będącego jego duszą, teraz schowaną, ale ją zaraz wyjmie, tak, właśnie to zrobił i położył na komputerze obok zamka z drzwi, symbolizującego jej umarłe serce. Był tak duży, że się przestraszyła czekającego ją bólu, była bezbronna i zupełnie mu wydana na pastwę.

Bezbronna przez to, że sama dała mu przyzwolenie, obydwójce wiedzieli, czego się spodziewać, nie była teraz wcale człowiekiem, nie miała żadnych praw, i z tego również zdawali sobie sprawę, i jeżeli nawet rozedrze jej pochwę, po prostu będzie musiała wezwać ambulans, oczywiście gdy on już odejdzie, i ona nie poda niczyjego nazwiska, powie po prostu, że poszła do łóżka z pierwszym spotkanym na ulicy.

„Chciałem cię zabrać do restauracji, wydałaś mi się subtelna i wrażliwa, pamiętam, jak podnosiłaś ramiona do góry, by upiąć włosy podczas naszej pierwszej rozmowy, twoja nagość była bezbronna. Oto kobieta, myślałem, która nie potrafi skrzywdzić mężczyzny, nie umie go wyzyskać i porzucić, nie traktuje jak instrument do wykonywania pewnych ruchów dających przyjemność albo jak automat produkujący pieniądze, albo schody do pozycji społecznej. Czułem, że potrafisz ocenić mój humanizm, dostrzeżesz, ile jest we mnie człowieka i zadbasz o jakość. Oto kobieta, rozumiejąca tę wspaniałą przygodę, która może się zdarzyć pomiędzy nią, a mężczyzną, chciałem, aby wszystko rozwijało się powoli i pięknie, jeżeli rozumiesz, co to znaczy kwiat i ta metafora nie jest dla ciebie wyświechtanym środkiem stylistycznym, wiedz, że tak właśnie czuję”.

Potem rozbierał ją powoli i bardzo pięknie traktując tak, jakby była naczyniem z kryształu, białą narzeczoną, której się unosi welon po raz pierwszy, zachowywał się tak, chcąc, by cierpiała, wiedział, że się męczy, i był subtelny, każdym gestem mówiąc, „patrz, co straciłaś”.

Wiedziała, że wszystko było w zasięgu ręki, miałyby mężczyznę i coś wielkiego, już nie musiałyby tak biec do przodu, oddychając szybko wrzącym powietrzem i czując usta otulające jej wargi, zrozumiała ciepło, w którym już mogłaby odpocząć. „Wybacz - powiedział odchodząc - przepraszam, nie mogę”, co znaczyło, że już nie przyjdzie.

Została tak strasznie zhańbiona, nie chodzi o ciało, oczywiście, gdyż ono, będąc materią, nie rozumie i nie wie, i nie może być skrzywdzone. Chciała przecież czegoś innego, zamierzała je unurzać. Zaprosiła tego mężczyznę, by odczuć jego mokry brzuch, który jej się nie podobał, pot i żyły na ramionach, i chciała usłyszeć jęki i wzdychania, zobaczyć otwarte usta i podchodzące w górę pod powieki gałki oczne, gdy szukają wytchnienia w rozkoszy.

Miała mówić wtedy sobie, że jest odrażający, obłana jego spermą, potem i śliną, chciała czuć się brudna. Wzięłaby później prysznic i wszystko by się zmyło, już by tak nie bolało wspomnienie tamtego mężczyzny i tego światła, które jej zostawił. Boli. Nie może tego znieść. Nie ma takiego brudu na ziemi, w którym mogłaby się wykąpać i zmyć z siebie cierpienie, by powiedzieć, że jest niczym, bo życie potraktowało ją okrutnie, świat miążdży takich jak ona, więc chciała zachowywać się uczciwie i pięknie, ale życie ją skurwiło.

Mogłaby wtedy mówić lepszym od siebie: „wiesz, noszę w sobie wielkie skarby ducha i charakteru, ale one nie mogły się rozwinąć, bo życie takie podłe”. Miałaby odtąd usprawiedliwienie dla swego upadku, który jest wygodny i bezpieczny. Lecz ona tego nie ma i musi się podnieść, czując śluz spływający w dół po udach, nawet ich nie zaciska. Gdyby mogła zasnąć, ale umysł podaje obrazy, więc słyszy głos mężczyzny, który ją zostawił na środku Miasta; czuje ręce obejmujące biodra, pamięta kępki drobnych kędziorków, jakby murzyńskich, rosnące rzadko po wewnętrznej stronie ud. Nie ma dla niej ukojenia, chyba, żeby tamten mężczyzna... jak on ma na imię? Musi więc czuć i cierpieć i gdy się już zbierze w sobie, bo jej uda przestaną drżeć, ustanie ból piersi i skóra się wyprostuje, znikną dołki po ukąszeniach, przyłoży sobie lodu na siniaki, będzie potem musiała wstać. I biec.

Dalej, no rusz się, biegnij, nie ustawaj, do przodu, pędź oddychając wrzącym powietrzem, który płonie ci w kiszkiach, biegnij tak, dopóki nie skonasz. Nie ma innego życia. Dla ciebie nie ma.

Zadzwoił wideofon, ale w ogóle się nie poruszyła, będąc martwą, mimo że zdawała sobie sprawę z ważności wezwania, jako że nie czekała po tamtej stronie żadna przyjaciółka, bo takich nie miała z braku czasu i ochoty na pogaduchy i wymianę przepisów na keks, musiał to być ważny ktoś lub sprawa, właściwie rzecz jedna, której wciąż potrzebowała więcej, czyli praca. Wiedziała, że dzwonek nie przestanie świdrować jej mózgu i będzie w nim drażył dziurę tak długo, aż się zwlecze, bo po tamtej stronie nikt wcale nie czeka ze słuchawką przy uchu bębniąc palcami drugiej ręki o blat biurka, lecz po prostu maszyna została zaprogramowana na nawiązanie kontaktu i gluony, klejące się cząstki informacji lecące przez system, są niczym innych jak drobinami inteligencji, więc połączone od razu z jej domowym wideofonem zdają sobie sprawę z obecności człowieka, może nawet widzą kobietę na tapczanie i jej obraz już poleciał do świetlistego i niematerialnego mózgu, co więcej, nie mają wątpliwości, że musi podejść i zacząć rozmowę, wobec czego osoba po tamtej stronie spokojnie wykonuje swoją pracę, wcale się nie trudząc czekaniem na połączenie. Leżąca kobieta nie żywiła złudzeń i nie miała nadziei, znając dobrze system będący narzędziem mającym wszystkie peryferiale,

oprócz jednego: uczuć, mimo to toczyła ten pojedynek, już od początku przegrana. W jej mózgu była czarna dziura, w której ścięto się światło i czas skrzepł.

Skomląc uniosła się wreszcie na kolana i łokcie i czołgała się trzymając dłonie z przodu, niby pies sunący na brzuchu do stóp pana. Bolało ją każde włókno ciała i różowy szpik w kościach, pełznąca pochwyciła zębami sukienkę i wśliznęła się w nią, czując, że nie może pokazać swojej śliskiej i zmaltretowanej nagości.

Złote powieki sekretarki stały nieruchomo, a wzrok wcale nie raczył dostrzec kobiety, i mimo że to odpowiadało tej, która wciąż stała na czterech; ta piękna i wymalowana poczuła się urażona, ale nie z powodu rozkudłanych włosów tamtej, lecz stanowiska. „O, w istocie, ta kobieta na swoje zasłużyła”, pomyślała, a twarz sekretarki pozostała bez wyrazu, tak samo piekielnie inteligentna i fachowa jak w rozmowie ze sponsorem czy gwiazdą telewizji.

- Chcemy ci podać niektóre parametry twojej pracy.

Kobieta milczała w odpowiedzi, ale nie było w tym pogardy, tylko oczekiwanie, więc odniosła w ten sposób zwycięstwo nad złotooką, lecz w burych źrenicach tamtej, poznaczonych złotymi iskrami nawet nie zapaliły się złe błyski, wynik pojedynku był więc wyrównany, jeden, jeden.

- Możesz nawet zobaczyć film z kandydatem na ofiarę.

- Nie, filmu nie chcę - rzekła szybko, nie wiedząc, z jakiego powodu, przecież to bardzo ułatwiłoby zadanie, ujawnił się tu jej emocjonalizm, umilkła zamyślając się, już wyłączona, w ten sposób została pokonana, jak zawsze, zresztą. Bo nigdy nie mogła wygrać. - Na czyje zlecenie...? - urwała.

- Na szefa, oczywiście - odpowiedziała zimna złotooka, nawet się nie zachnąwszy.

- Kiedy? - gorące powietrze, którym oddychała, nagle zamieniło się we wrzący metal, zalewający strugą gardło.

- Przed chwilą.

„A więc wrócił, już wykąpany, do pracy, w nowych, podartych dżinsach i od razu wykonał ten gest litości i poniżenia, wyciągając pomocną rękę tonącej, gdyż widział, że umiera i w istocie wątpił w jej ocalenie. Nie kosztowało go to nic, a ileż sprawiło przyjemności, bo znaczyło przecież, że pamięta, co się między nimi zdarzyło, i lituje się nad nią tak bardzo, że aż wlecze do roboty wspomnienie i jej obraz, zwiniętej na prześcieradle, a w pracy pierwszy rozkaz, wydany złotookiej w lśniącym kostiumie z nowego tworzywa oznaczał: „dobiję tę jednodniową kochankę, bo mi jeszcze mało. Tak, pamiętam, tak, wiem, pastwiłem się długo i z radością, której nie umiałem ani nazwać słowami, ani nawet sobie uświadomić, rozgrywka z nią jeszcze się nie skończyła, będzie się toczyć, póki któreś nie padnie, więc mogę podać rękę, stać mnie na ten luksus, bo przecież nie wyjdzie z topieli, woda wlewa się do jej ust i pali jak spirytus, a ja lepiej się przez chwilę czuję. Nic nie jesteś warta, choć masz szansę, jasne, wielką szansę swego życia, ale jej nie wykorzystasz, chociaż ci ją dałem, bo to ja jestem kimś, dawcą, ba,



Bogiem i oprawcą z pejczem, a więc się połów na plecach pokornie i niech twój brzuch będzie biały”.

Wiedzieli o tym wszyscy, a złotooka tak samo dobrze, jak tych dwoje, jej obowiązkiem było gnać z nosem wężącym po śladach jego stóp, wszak i ona miała swoje ciernie.

Ale to kobieta w sukience w naiwne kwiatki, teraz i tego pozbawiona, wszystko musiała przyjąć. Patrząc w swoim domu w wideofon, pokazujący złotooką sekretarkę, wiedziała, że reżyser tak właśnie to wszystko odczuwał i takimi kierował się motywami. Musiała jednak zapomnieć o upokorzeniu i pracować. Jej myśl płynęła bardzo szybko, ujmując w olbrzymich obrazach temat scenariusza, który będzie pisała. Zastanawiała się, kto może być jego bohaterem, kogóż to znalazła telewizja w tym wielkim, ludzkim śmietniku wszelkich ras i gatunków: „Nie, teraz nie chce oglądać filmu, podpowiadającego sposób, w jaki może pokazać śmierć ochotnika. Kim on będzie? Może niewolnikiem pracującym na jakimś satelicie, mieszańcem, kundlem o szarej, trupiej skórze, może więźniem, wielokrotnym mordercą dzieci, gwałcicielem chłopców, skazanym na karę śmierci, całkowicie zasłużoną, która i tak byłaby wykonana, więc dlaczego publika nie miałaby się przy tym nie zabawić, w końcu, świat potrzebuje rozrywki, czasy są trudne, a takie nowoczesne igrzyska kanalizują złe odczucia; ale nie należy go oglądać, to przecież człowiek, no, może niezupełnie, ale żywa istota, krew i światło”.

Palec sekretarki pokryty złotą emalią trącił ekran komputera, jakby niechcący, a kobieta po drugiej stronie wideofonu, klęcząc na podłodze zaczęła z nawyku posłuszeństwa maszynom, odczytywać parametry tej istoty będącej ofiarą i opadała coraz niżej na pięty, w jej głowie świstała pustka.

- Dostyc, wiem już wszystko! - miała siłę wydać rozkaz i to było jej jedyne zwycięstwo, choć sobie uświadamiała, ale nie powiedziała słowami, co się wydarzyło, może nie wierzyła lub nie mogła inaczej. Wideofon zgasł od razu, w tych czasach nikt już się nie bawił w konwencje i uprzejme pytanie o zdrowie lub w jakies „dzień dobry, do widzenia”.

Świst w głowie się obniżył, zamieniając w buczenie elektronicznego owada, neuronostalowego trzmiela uparcie pracującego, by obtoczyć swoją kulę gnoju, która zatruwała jej umysł. Potrzęsała głową, chcąc go wysypać przez bolesne wewnętrzne ucho, mówiła sobie, że jest szalona i na pewno tym razem zwariowała, ale Bóg nie jest taki litościwy, nie straciła nawet przytomności, myśl, podejrzenie, ten skarabeusz-gnojnik zagniał szare komórki lepiącymi się odnóżami. Nie miała nawet czasu, by sobie posiedzieć, trzeba było pracować, zostało tylko półtora dnia, trochę szarej jasności i twarda noc na drewnianym dnie, jak na pryczy. Oddychała ciężko wrzącym powietrzem, w płucach pękały banieczki. Musiała się podnieść i wciąż potrząsając głową przeszła do łazienki, tam zdjęwszy sukienkę powiesiła ją starannie, była to droga rzecz, po czym z głową wciąż pochyloną stanęła pod prysznicem, a urządzenie włączyło się samo.

Jonasz zmierzał do klubu „Ciało”, by trenować. Był zmęczony. Odświeży się trochę w biologicznym promieniowaniu ultrajonowym, które zdejmuje senność i znużenie, i wypełnia komórki witalnością. Jediną ujemną stroną, a może niezupełnie, było wzmożone pożądanie, klub i to zaspokajał, wszak długonogie dziewczyny siedzące na wysokich stołkach należały do terapii, co przecież było oczywiste, program sprawnościowy musiał zostać wypełniony do końca, i panienki wliczano w rachunek, no, może niezupełnie. On miał inne gusta, ale i dla perwersów klub miał coś w statucie, więc przy barze siedzieli chłopcy, dobrze wytrenowani, i sączyli oranżadę patrząc się przed siebie, w lustro ponad kontuarem, trzymali kieliszki męskim chwytem za brzeg, obejmując je palcami, a ten gest miał przecież swą wymowę, ich przedramiona były obnażone aż poza łokcie.

Dla Jonasza mieli jedną wadę, zbyt często się kąpali, a ich kosmetyki w dobrym gatunku, pachniały zabijając naturalną woń ciała. Owszem, często ich brał czując się tak, jakby kochał się z wazeliną, więc teraz szedł przez bazar, wywalczony i wystrajkowany od nowych właścicieli w czasach powszechnej komercji, chociaż nie był przecież bardzo potrzebny, wszystko można było kupić wszędzie, ale to brudne miejsce, zastawione straganami o płóciennych, brudnych daszkach, o ladach zarzuconych wzorzystością byle czego, często wdeptywaną w błoto, gdy się nieuważnie ześliznęła z brzegu, zaspokajało wiele potrzeb biedaków.

Jonasz idąc przez bazar zobaczył chłopca i przystanął wpatrując się zachłannie w sylwetkę na wpół ukrytą za straganem z cienkimi sukienkami z miękkich tkanin, klejących się do ud i palców. Tamten siedział na drewnianym stołeczku jedząc pizzę z tekturowego talerza, odgryzał ją wprost z dużego kawałka i policzki miał zabrudzone serem i papryką, więc wciąż je ocierał rękawem kurtki z napisem „Rockersi”, była stara i powygryzana przez myszy, a jego nogi okrywały postrzępione spodnie, po prostu łąchmany. Nie był zapewne synem właściciela, na pewno u niego pracował, i to od niedawna, używano go do wszelkich posług, z pewnością składał kramik po godzinach handlu i zamiatał plac z łupin i petów, musiał sypiać w magazynie i nosił trepki na boso stopy. Jadł łakomie, miał pełne policzki ciasta i gryzł szybko mięso zębami lśniącymi jak szkło, a jego skóra się złociła, był pewnie mieszzańcem, południowcem, o czym świadczyły czarne włosy. Zwijały się lekko na opalonym karku, tak czarne, że aż granatowe i na złotawym naprężonym karku skręcały w postrzępione kędziory, i ta kurtka narzucona na gołą skórę, zapach myszy i młodej skóry, jej złocistość, zupełnie gładkie czoło, włosy opadały poniżej pleców, może je zaplatał, ale widocznie były śliskie i jedwabiste, więc wyslizgiwały się samoistnie.

Te wszystkie cechy oszałamiającej urody Jonasz zobaczył i jego wzrok wędrował od jednego szczegółu do następnego, nieustannie, powtórnie i z zachwytem, a jego pożądanie rosło, cienka żmija zaczynała rozprężyć swoje zwinięte ciało. Stał przy straganie, zwijając palcami tkaninę sukienki dla kobiety, jego ręka bawiła się materia bezwiednie, gdyż myślał o czymś innym, wpatrzony w rozsypane włosy. Zastanawiał się, dokąd go zabrać, odrzucił pomysł pójścia do klubu ze względu na mężczyzn, którzy siedzieli przy barku, mogliby mu zrobić krzywdę, zepchnąć ze schodów lub oblać twarz

wrzątkiem. Nie wchodziło w rachubę wprowadzenie go do własnego mieszkania w bloku, gdzie gnieździło się wiele rodzin, niby białe myszki w drewnianym domku, a on uchodził tam za osobę dobrze ustawioną w życiu, wszak pracował w telewizji i dobrze się nosił, nie, nie mógł go tam zabrać. Klatki schodowe oplatały zewnętrzną stronę budynku jak pajęczyna, każdy, kto się na nich pojawiał, wiązał niby mucha, oplątany krzyżującymi się linami spojrzeń, wydany na rzucane żyletki słów, które by go pocięły jak szmatę wraz z jego reputacją; ale bardzo chciał tego chłopca, jego niewinność wzbudzała w nim podniecenie, myślał o tym, potem, rano, chłopiec już nie byłby taki czysty ani jego ciało, gdyż wypełniłby je własnym nasieniem, które się na zawsze przyklei do brązowych, pomarszczonych nabłonków - te usta, różowe i wypukłe, teraz prześwietlone słońcem, na wskroś, ze smugą rdzawego keczupu, utraciłyby kształt od ukąszeń i ssania i stałyby się opuchnięte, ze strupkami świeżo przyschniętej krwi.

Przegub Jonasza zataczał półkola, coraz szybsze, niby podczas fechtunku, tak, to byłaby pewnego rodzaju szermierka. Patrzył teraz na piersi pomiędzy rozchyłonymi połami kurtki, na środku lekkiej wypukłości sterczała sutka, gładka i śliska, już czuł na niej swój język, zacisnął zęby i słyszał nieomal krzyk chłopca, bo tak by się stało, zapaliłby mu brzuch. Ręka poruszała się wciąż szybciej, wzrok się ześliznął aż na brzeg spodni zapiętych tylko na metalowy guzik, przysiągłby, że pod spodem nie nosi żadnej bielizny i jego miękkie teraz i zwinięte to coś nieduże i brązowe, o końcu lekko podwiniętym w górę, musi być podrażnione szorstką tkaniną, lecz leży ciche i nieme, nieznające swojej siły, on ją obudzi, aż wytryśnie srebrzącą się bielą.

I noc będzie ciemna i głęboka, objęci ramionami stoczą się na dno, by tam się wytarzać, to będą zapasy i szermierka, jeden z nich już się nie podniesie i tam pozostanie na zawsze jego skalane i zmaltretowane ciało, fioletowe od sińców, zbite, bezkształtne i po wielokroć zgwałcone. Ręka Jonasza zacisnęła się na cienkiej tkaninie, paznokcie wbiły się w dłoń, ale materiał sukienki dla kobiet pozostał niezgnieciony, tak samo niezniszczalny i odporny, jak ich ciała.

Wtedy na Jonasza padł cień. Był to czarny cień i gęsty, cień zimny, taki jaki wydaje rozkopana na grób ziemia, cień, w który się wpada, lecąc na wznak z rozkrzyżowanymi ramionami i przekłutą piersią. Ręka Jonasza znieruchomiała, zapomniał o niej i zimno obejmowało go od pleców, coraz głębsze i bardziej wnikające w ciało, czuł się niby świnia wypatroszona już z wnętrzości, na której grzbiet, a właściwie polec mięsa, puszcza się zimną parą zamrażającą głęboko, aż do przemiany w lód. Nie miał odwagi się obejrzeć, właściwie nie był w stanie, czując, że nie ma pleców, bo ciało hibernuje się w szkło.

Patrzył na chłopca, który, dotychczas gapiący się przed siebie, jakby oglądał słoneczny świat młodości, nagle skończył jeść i otarł rękawem usta, przechylił głowę w lewo, unosząc brodę w górę, a jego oczy otwierały się szerzej, białka lśniły jak mahometańskie półksiężycy, obejmujące od spodu srebrnym sierpem brunatne tęczęwki. Kąciki ust lekko się podniosły, właściwie było to tylko drgnienie, przecież nie o to mu chodziło, lecz tak pozostały, siedział nieruchomo, jakby zapomniał o sobie, wpatrzony,

nieobecny. I Jonasz nie mógł się poruszyć, jego ręka opadła i tkanina na sukienkę kobiety wyśliznęła się na zawsze z palców.

Niebo ściemniało nagle, wieczór tu zapadał niespodziewanie, może z powodu przemian klimatycznych, które zachodziły niedostrzegalnie i systematycznie od końca XX stulecia, pory roku się przesuwały, zachodząc jedna na drugą, wiosny przybywały zbyt późno, aż wreszcie zdarzały się jesienią; prawdopodobnie działa się tak z powodu nieustannych wojen, gdy dziesiątki lat paliły się szyby naftowe i dymy unoszące się wciąż w niebo, układały się warstwami drobiny lodu wisiały w nich gęsto, przemieniając się i krzepnąc, zmieniając swą chemię i strukturę, aż wreszcie się zestalały, krusząc promienie słońca. Z daleka zaczął narastać rumor, powolnie rosnący hurkot zbliżał się potężniejąc; rosnący w górę i na boki nieustannie parł do przodu jak nawała. Ludzie przy straganach nawet nie odwrócili głów w tamtą stronę, tylko ich ręce gwałtownie pochwyciły towary z lad, by je upychać w sakwy, usta otwierały się szybko wydając wołania, pokrzykiwali ponaglając pracowników, niecierpliwie wrzucali toboły na wózki i umykali na drugą stronę ulicy, gdzie z powolnym zgrzytem już się otwierały wielkie drzwi magazynów, sunąc na rolkach na boki, i jak tylko zrobiła się szpara odsłaniając wejście do ciemnej czeluści, skąd wiało zimnem i stęchlizną, wślizgiwali się w nią jeden za drugim jak myszy, ale i tak już było za późno, nawałnica huku rosła jak powódź, zatapiając dystans między nią a targowiskiem.

Kawalkada samochodów, czarnych bizonów z płonącymi reflektorami, olbrzymich turów i mechanicznych rozpędzonych byków gnała wprost na nich, niby szerokie czoło lodowca, miażdżąc wszystko po drodze. Oni oszaleli. Byli sprzedani i nie mogli śpiewać na placach, krzycząc i klnąc, zabrano im ostatecznie wolne miejsce, więc jeżdżąc na samochodach w huku i zgrzytaniu krzyczeli w rytm muzyki wydobywającej się z maszyn swoją dziką pieśń bez słów, złożoną tylko z sylab wyrażających ból i wycie, przerażenie i przekleństwa i grozili nią Miastu i światu jak tysiącem zaciśniętych pięści.

Dachy z wielu aut zerwano, pozostały z nich tylko krypy, które gnały na ostatnim oddechu, były to same boki i podwozia z dziurami po drzwiach, tu, w progi wpierały się czarne buty chłopców. Małe radia, wielkości pluskiew, i inne odtwarzacze dźwięku walały się na kolanach, wisiały przy uszach lub u klap kieszeni. Miażdżono je butami nieostrożnie przechodząc, kupowało się to na garście i z każdego waliła muzyka lub sypały się słowa, czasem turkoczące jak kamienie w worku, który każdy z tych jeżdżących narkotycznie niósł na swych plecach, i można się było porozumieć z każdym człowiekiem na zewnątrz Miasta, tam gdzie był świat i powiedzieć „cześć” do Saszy, Mohameda czy Hansa, i można również było usłyszeć odpowiedź, ale po co, kurwa, rozmawiać, kurwa, po co, kiedy wszędzie jest tak samo i nigdzie nie możesz śpiewać na placu tego, co czujesz i co cię boli, by już następnego roku nie zleciała się banda kruków, a to są faceci, którzy się znają na rzeczy, więc wam zaprojektują dekoracje i stosowny makijaż i jeżeli jesteś wściekły, tym lepiej, kamera robi duże zbliżenie, a łzy twojej dziewczyny będą lśnić na jej policzkach lepiej niż przejrzysty superplastyk, używany do makijażu filmowego.

Więc nie warto rozmawiać, bo wszędzie jest wojna, nie od razu, nie jednocześnie, tu i tam, co chwilę, każdego roku gdzieś indziej, musicie to zrozumieć, ludzie, trzeba gdzieś sprzedawać broń, a jeżeli jesteś młody, cholera, i nie chcesz tego zrozumieć, to, cholera, twój problem. Tu, w Mieście, wojny nie ma, ale wszystko gnije, czas gnije i zamiary.

Grzmot narastał, a z bazaru uciekali kramarze ze swymi tobołkami, smyrgając w czarną szczelinę magazynów. Nie opodał ukazała się kawalkada, a na jej czele, na harleyu czarnym jak bestia, wparta dłońmi w kierownicę, z łokciami sterczącymi na boki, tak pochylona, że piersiami niemal dotykała baku, gnała Mada. Miała na głowie czerwoną opaskę ściskająca skronie. Przez różowe ciało, zupełnie nagie, prześwitywało wieczorne słońce i wydawało się, że całe płonie, już zamienione w czerwoną lunę pożogi, może to była prawda, czuła się jak ogień. Na stopach wpartych w pedały naprężyły się ścięgna palców, pokonywała w sobie to, co zamieniało ją w ognisko, nie umiała tego nazwać, ale bolał ją cały brzuch, mrużyła oczy szukając czegoś czy kogoś, nie wiedziała czego.

Zobaczyła obcego, który nawet nie odwrócił ku niej głowy, gdyż rozumiał, jej oczy tylko prześliznęły się po nim, jak po nieznanym, nie interesował jej wcale, zatoczyła wokół niego pętlę, bo coś ją wzywało, ogień ukryty pod brzuchem, który został powiększony innym płomieniem, płynącym z bliskiej odległości płynący, więc Mada zakręciła jeszcze jedną pętlę na czarnym harleyu sahara, wpierając stopy w pedały i lekko się unosząc. Białoróżowe ciało, małe trójkątne piersi młodej dziewczyny, biodra tuż ponad siodełkiem, jego czarny kształt rozpierał uda na boki, wszystko odcinało się od nieba, już ciemniejszego, ogień go jeszcze zaciągał, i od słońca, które zapadło za krawędź Miasta, tam gdzie nie ma nic.

Za dziewczyną na motorze gnały setki aut, wszyscy chłopcy byli w nią wpatrzeni, stała się nagle ich przewodniczką, płonęło w niej to, co zawsze; jak wilczki, wietrzyli. Gnali w hałasie motorów, zagłuszała ją krew waląca w uszach, wszyscy szaleli. Mada zrobiła jeszcze mniejszą pętlę, zaciskając przestrzeń w sznury ruchu, i wtedy jej oczy i źrenice chłopca dotknęły się spojrzeniem, lecz ono od razu wpadło głębiej, ogień zamienił się w światło, wypełniając ciało, które objęło chłopca niby wielka meduza czymś przejrzystym, delikatnym i zagarnęło go wkładając sobie do środka.

Mada pędziła wprost na niego, jakby nie widząc, że może go zmiażdżyć, on już dawno nie patrzył na obcego, lecz tylko w nią, nie myślał o niebezpieczeństwie, o niczym nie myślał, na uda i brzuch wylał mu się sagan ukropu, poczuł się słaby, tak bardzo, że nie mógłby wstać, nawet gdyby to coś, nie wiedział, jak to nazwać, czarne i świecące, miało wgnieść go w błoto, widział tylko różowe ciało dziewczyny, tuż ponad głową małe sutki zataczające kółeczka w rytm tego, co trzymała udami, ujeżdżając i unosząc się na stopach wpartych w pedały, ścięgna się naprężyły, silnie nacisnęła hamulec, dźwigając wysoko przednie koło, błoto bryznęło na stopy, zachlapało kostki, sięgnęło aż na łydki i kolana czarną tyralierą kropel.

Stała tuż przed nim, koło opadło, błoto chlasnęło na chłopca, przez twarz i usta, czerniąc go kleiście. Jego bure źrenice rozświeślały się, wnikał w nie blask z ciała

dziewczyny i jej nienazwanej chęci, która kazała tu przyjść i stanąć. Motor dygotał cały, wzbudzając w niej wibracje, uniosła się jeszcze bardziej na stopach mokrych od błota, stanęła na palce i gwałtownym, wyzwalającym szarpnięciem zdarła z czoła opaskę, aach, supeł się rozwiązał, miękka, czerwona tkanina się rozwinęła, była przejrzysta, jakby bez obrąbków, może podobna do rozświetlonej krwi.

Już chustka jest owinięta ciasno wokół przegubu chłopca i on mocno podciągnięty w górę, na motor, jeden lekki, płynny skok i już jesteś na zawsze inny. Usiadł twarzą do dziewczyny, ścisnął udami rozpierające siodełko i objął ją mocno ramionami przysuwając się bliżej, ruszyli, motor zawibrował, ręka dziewczyny rozwarła na boki zamek przy spodniach i to, co tam miał, napięte rzuciło się w przód, wbijając dokładnie i szybko tam, gdzie trzeba, patrzyli sobie w oczy, gnając przed siebie, motor sam poddawał im ruchy, wystarczyło, że słuchali jego rytmu, wchodząc w siebie równomiernie i pięknie, połączyły się ich usta i języki, jechali coraz szybciej i pewniej, aż do końca, kiedy chłopiec obejmując trafi w końcu w to miejsce, gdzie trzeba.

Obcy patrzył za nimi, jakby ich obejmował chroniącym spojrzeniem, niech Bóg strzeże szalonych i zakochanych. Kawalkada aut i krzyków ruszyła lawiną przed siebie, był to czarny lodowiec wrzawy i bólu, Jonasz, wciąż nieruchomy i zimny, stał przed straganem, czyjeś ramię się wyciągnęło, został pochwycony za pasek i rzucony na tylne siedzenie samochodu, który pędził. Wszystko działo się prędko i bez jego woli. On, zawsze taki wykąpany i elegancki, wszak pracował dla telewizji i wybierał chłopców i porę miłości z nimi, a także sposób i miejsce, gdzie to robił, teraz stał się nikim, nawet nie rzeczą, jego spodnie zostały ściągnięte w tej samej chwili, gdy wiano mu w usta ostry alkohol, i ledwo przełknął, wsunięto w nie coś twardego, ktoś usiadł nad nim okrakiem, a jego głowa została ujęta w silne ręce jak w obcęgi i poruszano nią równomiernie, nogi rozepchnięto mu w obie strony, wszystko było tak brutalne i silne, że nie czuł nic tylko gwałt, a potem straszny ból, lecz przecież ani pisnął, kazano mu się starać nagłym przyciśnięciem, nic nie widział, jakaś siła wyrywała mu podbrzusze zmuszając do podniecenia, był już słaby, uderzono go w pośladki, poczuł bat czy pręt, nawet nie pomyślał o hańbie i o tym, że mu w ten sposób zapłacono za wszystkich jego kochanków, czekał tylko, aż się nasycą, ale słyszał w umyśle podszept, że jest ich wielu, może dokładnie taka sama liczba ciał, jak ta, które on dotychczas zdręczył.

Ten mężczyzna siedział w najciemniejszym kącie baru, tuż przy ubikacji, do której wciąż ktoś wchodził nie dbając o domykanie drzwi i słyszało się wówczas odgłosy rozpryskiwanego w pisuarze moczu, lecz on, pochylony nad dużym kieliszkiem wódki, który nie był już pierwszym, zdawał się wsłuchiwać w to z obrzydzeniem, gdyż za każdym razem wypijał duży haust, zaciskając potem usta i unosząc brodę, jakby sobie przyrzekał, że tu wytrwa, gdyż powinien się znajdować w tym zawstydzającym miejscu, właśnie sobie uświadomił, że ten ciemny i wstydlivy kąt przy ubikacji dokładnie ukazuje jego sytuację w życiu. Ale wcale nie pasował do tego obskurnego baru, w którym gromadziła się międzynarodowa hołota, różnił się od siedzących wokoło nielegalnych najemników, oni właśnie tu przepijali najdrobniejsze monety, ćwierciaki, pieniądze stanowiące treść ich snów, ale o mamonie i oszczędzaniu marzyli kiedyś, zanim dostali



się do Miasta, ono ich zmieniło. Turkot rozmów w polgermanie, gwarze grzechoczącej jak arba po bruku, zagłuszał stukanie maszyn do gier na pieniądze, mechanizmów, z którymi nikt nie wygrał. Do tego miejsca i atmosfery nie pasowały jego dobrze ostrzyżone włosy i prosta bawełniana koszula z prywatnego sklepu, ani spodnie zachowujące kanty i układające się miękko na stołku barowym, ani też buty z prawdziwej skóry, nad którymi pewnie jeden z tych ludzi pocił się nocami, by zadowolić wymagania pryncypała i klienta. Dlaczego tu go przyniosły?

- Kloaka - szepnął do siebie, ale właśnie wtedy zobaczył kogoś obok, właściwie tylko cień, gdyż człowiek ten stał odwrócony plecami do światła, a na bufecie spoczywały jego ręce, opiekuńcze i budzące zaufanie.

- Napiję się z tobą - rzekł nieznajomy, ręka uniosła kieliszek i zniknęła w mroku, nie wiadomo, czy alkohol został wlany do ust, zresztą siedzący nie zwracał na to uwagi.

- Chcesz pogadać? Wiesz, czyje pieniądze przepijam? - zapytał siedzący.

- Kobiety, która mnie utrzymuje. A czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak zarabia? Nie? No, to ci powiem. Pozuje do pornusów i zdjęcia kupują wszyscy. Wejź do tego klopa - uczynił niewyraźny gest w stronę ubikacji, zobaczysz fotografię jej nagiego ciała przypiętą pinezkami do drzwi kabiny, aby pętacy mogli się onanizować, gdy się już wysrają - wychylił kieliszek do dna jednym haustem i szybko podstawił pod samoobsługową maszynę do nalewania, żółta wódka pociekła strumieniem jak mocz. - Nie mogę na nią narzekać, kiedy tylko ma chwilę przerwy w zdjęciach, zawsze do mnie telefonuje przez radiochip, nosi go we włosach jak spinkę. Fotografowanie często trwa do rana, jej partner to homoseksualista, jakiś Jonasz, rozumiesz, jest bezpieczna, może się na niej kłaść.

- O co więc ci chodzi?

- Czy tak powinno być?

- To ty powinieneś pozować do zdjęć pornograficznych - rzekł nieznajomy.

Pijany obrócił się gwałtownie, ale zobaczył tylko ciemny zarys głowy i z wyrazu twarzy nie mógł się zorientować co do ewentualnych ironicznych podtekstów nieznajomego.

- Ja to potępiam, bo jest niemoralne.

- Przecież ciała kobiet zawsze były na sprzedaż, to dobry i pewny towar.

- Nie chcę go sprzedawać, ma należeć do mnie. To ja powinienem przynosić do jaskini upolowane zwierzę.

- A ona? Pewnie ćwiartować mięso i strzec ognia, by nie wygasł.

- Powinieneś znaleźć sobie jakąś pracę - burknął pijany, sięgając po kieliszek. - A próbowałeś?

- Nigdy bym tyle nie zarobił, trzeba by zrezygnować z wielu rzeczy - jego ręka przesunęła się wzdłuż odzieży, wskazując, o co mu chodzi.

- Odziewasz się w jej skórę.

Alkohol został wlany do gardła, powieki opadły, a kiedy ręka podstawiała zygżakiem kieliszek pod automat, jego mętne oczy otworzyły się ponownie. Otworzył usta, by coś powiedzieć, a wtedy przez gwar błędnych rozmów przebiła się tęska melodia południa, słowa mówiły o wysokich górach za mgłą i o tym, że trzeba wejść na szczyt i może to uczynić tylko prawdziwy mężczyzna, by kobieta niosąca dziecko mogła je bezpiecznie kołysać.

- Nie jestem mężczyzną - jęknął pijany, wpatrując się w żółty, ciekący stróżką płyn.

- Być mężczyzną, to posiadać kobietę na własność?

- No, trafnie to ująłeś. Myślisz, że nie to decyduje o męskości? I jeszcze, żebym ja ją utrzymywał?

- Przecież i jej ciało należy do ciebie, i miłość, mówiłeś, że jest ci wierna.

- Ooch, nie zasłużyłem na to, jestem szmatą - szybki haust i gest podstawiania kieliszka pod automat. - Muszę iść przewinąć dziecko. Wiesz, to jest wielkie, kiedy trzymam mego syna, a jego głowa leży mi na piersi i on jest wtedy bezpieczny, czujemy się jednością, samym życiem, ta drobina biologii i ducha należy tylko to mnie - zachichotał nagle. - Wiesz, że często jej nie pozwalam brać go na ręce, ma długie, ostre paznokcie, zresztą, ona musi mieć wypielęgowane dłonie i całe ciało, wciąż ma chodzić do masażysty, kosmetyczki, do hali sportowej, powraca zlna potem aż po szyję, nie masz pojęcia, jaka to harowa, utrzymywać urodę, ja szukam nowości naukowych na temat bielenia zębów, zapobiegania zmarszczkom, farbowaniu włosów, właściwie jestem ekspertem w tej dziedzinie, mógłbym się zatrudnić w jakiegokolwiek firmie i zarobiłbym harmonię pieniędzy, ale wtedy, no tak, oddalibyśmy dziecko pod opiekę jakiejś kobiecie, a wiesz, ja do niego mówię, on jeszcze niczego nie rozumie, ale opowiadam mu o świecie, obcych krajach, które leżą naokoło Miasta, on słucha, patrzy na mnie tymi swoimi oczkami, a potem zasypia, przed snem czochra sobie włoski paluszkami, o tu, na czubku głowy, na pewno śnią mu się archipelagi - odsunął gwałtownie kieliszek - o kurwa, co mnie obchodzą tradycje, podział ról na męskie i żeńskie, kto będzie decydował o moich wyborach życiowych, jaskiniowcy wlokący świnie do ogniska? A co mnie obchodzi pętał w sraczu? Przecież nawet gdybym z nią szedł do kościoła, opancerzoną w gorsecie po szyję, rozbieraliby ją oczami, by się potem w kącie przetrzepać. Czy mam im amputować wyobraźnię? Jestem specjalistą, twórcą jej sukcesu, to właściwie ja wydobyłem urodę tej kobiety i utrzymuję jej trwanie, uważam się za jednoosobowe, świetnie prosperujące przedsiębiorstwo. Tak, cholera, tak dokładnie to wygląda.

Nieznajomy stał wciąż odwrócony plecami do światła i milczał, jego ręce zniknęły już z kontuaru, ich opiekuńczość i świadomość tego, co wyrażały, nie była teraz potrzebna. Tuż za nim wybuchnął wrzask przekleństw, melodia pękła, słowa się urwały, nikt się nie dowiedział, czy mężczyzna doszedł na szczyt. „Asfalt powinien leżeć na ulicy, nie mam nic przeciwko ludziom, ale negatywów nie lubię!” Mały południowiec w poncho stał skurczony tuląc do piersi banjo, widać było, że znalazł je na śmietniku i zaledwie otarł z brudu, przytwierdziwszy struny. Tuż naprzeciwko niego stał wysoki obywatel Miasta, ale tu piła tylko jedna ich kategoria, ci, którzy nie mieli pracy i

załatwiali swoje brudne interesiki, wymieniwszy czasem banknot na fałszywy lub pośredniczący w sprzedaży rzekomo posrebrzanego łańcuszka.

Pięści obywatela były zaciśnięte, a ręce, zazwyczaj wepchnięte z determinacją w kieszenie, podniesione. Był nędzarzem z wyglądu i z duszy, ale wciąż lepszy od becyka. Pijany nagle jakby otrzeźwiał, odsunął kieliszek i ześlizgnąwszy się pewnie ze stołka, zrobił trzy zamaszyste kroki w tych swoich miękkich butach, które oni pewnie nocami starannie wyklejali. Staął naprzeciwko obywatela, o głowę niższy, zresztą mocno zalany, w starciu na pięści, całkowicie bez szans, ale miał pewność swej racji.

- Zabolało was, co?! Słowa prawdy, no nie?! Wy, tu wszyscy, którzyście porzucili swoje wioski i kobiety, swoje bogi domowe i palmy na święto, by tu przepijać nadzieję swoich rodzin, moralność ojców, usłyszeliście, co trzeba. - Odwrócił się gwałtownie do południowca o zbyt ciemnej skórze. - Zagraj im! I zaśpiewaj! Wydobądź ze swego cierpienia taką ostrość, żeby ich wszystkich zabolało. Niech zamilkną! Niech pochyłą głowy i powrócą na chwilę do miejsc, gdzie byli ludźmi. Graj głośno, niech runą bramy strachu! A potem odwróć banjo, bo nasypią ci groszy i wyjdiesz z podniesioną głową, bo wykonałeś rzetelnie swą robotę, dając ludziom odwagę i siłę. Graj!

Mały w poncho stał z wybałuszonymi oczami, wtedy ten drugi, wyższy podszedł, odsunął go i stanął w rozkroku, podnosząc ramiona. Otworzył usta i wtedy z jego gardła, a może skądinąd, z miejsca, gdzie rodzi się ból, wydobył się charkot zamieniający się w skowyt przerywany jękiem. Dopiero po chwili wypuł kolczaste kłęбки słów. Śpiewał w nieznanym, starożytnym języku, który powstaje sam, gdy idziesz po trawie i kochasz ziemię i kobietę, a może nie była to w ogóle mowa, lecz wszyscy rozumieli słowa, tak jak się od razu pojmuje powstawanie duszy.

Nikt się nie poruszył, oczy nieruchomo patrzyły w stoliki, nie widząc nic, papierosy wypalały się w popielniczkach, szkła z alkoholem zamieniły się w czarodziejskie kule, w których ukazały się mdłe cienie porzuconych krain, zapomnianych ludzi, a w głębi pączkowały kolory przyszłości, zaczątki zmian.

Skończył tak nagle, jak zaczął, wciąż było cicho, potem wysoki obywatel Miasta spojrzął ponuro spod brwi, mając usta skrzywione, bo czuł ból, ale nie chciał się przyznać do klęski, wyjął duży banknot z kieszeni bluzy i zatknął go za poncho małego czarnucha, dotykając skóry i wytłuszczonej odzieży, potem ruszyli inni. Dwaj południowcy stali nie wiedząc, co się dzieje, wyższy jeszcze pamiętał obrazy, które wyśpiewał, ten drugi już się nie bał. Pieniądze, pieniądze, pieniądze, tak upragnione, wkładano w ręce, wpychano pod odzież, rzucano z góry na głowy, siedzący przy dalszych stolikach ciskali zwitki, które rozsypywały się w locie, zasypując grajków zielonym i błękitnym deszczem.

Kiedy obcy stanął na progu jej pokoju, bo zamek u drzwi był wciąż nienaprawiony, siedziała przy komputerze pisząc jak szalona i nie odwróciła się nawet, gdy jego stopy kruszyły żółty papier starych gazet, które nadal zaścielały podłogę, pracowała oszałamiając się, a na ścianie wyświetlały się obrazy torturowanych ludzi, służąc jej instruktążem, wszak musiała napisać scenariusz męki, więc filmy się zmieniały jeden za

drugim. W żelaznym saganku wieziono przez rynek Miasta nagiego mężczyznę, płomienie od spodu podgrzewały oliwę, w której siedział zanurzony do piersi, i odwróciła się dopiero, gdy na ekran padł cień, odwróciła się natychmiast, przerażona, jej palec trzęsąc się nacisnął klawisz „esc”, by wyjść z programu, a zielony ekran pokryło bielmo.

Nie umiała wykrztusić słowa widząc go, jak stoi tuż obok z rękoma w kieszeniach spranych płóciennych spodni. Wciąż drżała czy ze strachu, podejrzewając, że złoczyńca wtargnął do jej domu, czy ze szczęścia. Nosiła wciąż tę samą prostą sukienkę kosztującą fortunę, lecz miała bose, bezbronne stopy, zacisnęła na nich palce i oblizała wargi, niepewna, jak się zachować, lecz przecież przyszedł, jest przed nią i tylko dla niej. Wskazującym palcem dotknęła języka i uniósłszy się dotknęła mu ust i od razu jej palec przesunął się na policzek i już dłonią muskała mu twarz, nie mogąc się oprzeć, wciąż milczał, więc nie miała pewności, lecz nie umiała się powstrzymać, ręce przesunęły się na szyję i odsunawszy koszulę dotykały ramienia. Zamknawszy oczy rozpiniała guziki i sprzączkę od paska, obłuskując go z odzieży, która luźna zsunęła się na podłogę. Miała wciąż opuszczone powieki, jakby nadal chciała śnić, wymyślała jego ciało palcami rzeźbiąc je, jakby nie istniał, a ona go stwarzała ze swego marzenia, gdy przyklękli na podłodze i potem legli na łóżku, które wciąż było niezaścielone, nie umiała zatrzymać rąk, a po chwili i ust, było jej wszystko jedno, chciała tylko tego mężczyzny, czując jak kolanem rozsuwa jej uda, otworzyła na chwilę oczy i zobaczyła dwie niebieskie tęczęwki, już nie istniała, rzeczywistość się zamgliła, czas pokruszył się na mąkę i zasypał ją w otchłani, gdzie nie było nic. W umyśle, na samym środku czoła, eksplodowało złociste światło zalewając wszystko niby płynnym metalem i potem zrobiło się ciemno, jej ciało pomniejszone o ciężar jego ciała, przewróciło się na bok, ramiona wyprostowały się i pochwyciły brzeg łóżka, zaczęła wydobywać się z głębi na krawędź rzeczywistości, ale nie mogła zasnąć, szkoda jej było każdej chwili na sen, gdyż wówczas musiałaby go opuścić i przestać doznawać, ale uniósłszy głowę zobaczyła zegar na komputerze.

- Muszę pracować! Mam czas tylko do rana! - Jeszcze ramię odchyliło się do tyłu, by palce mogły się prześliznąć wzdłuż jego nóg, i zsunawszy się za brzeg uklękła na podłodze, by narzucić przez głowę, nie odpinając, swoją sukienkę.

- Zamówienie, obowiązek! To moja wielka szansa, wszystko od tego zależy! - Już siedziała przy komputerze i wręcz bezwiednie nacisnęła klawisz „enter”, uruchamiając program.

- Wyobraź sobie! Taki duży kredyt, a jakie będą tantiemy! Koniec z gazetami na podłodze, koniec z dyżurowaniem przy wideofonie i czekaniem, aż ktoś zechce mnie zatrudnić, przeprowadzę się do lepszej dzielnicy. - Rzuciła na niego szybkie spojrzenie i już jej palce pomykały po klawiszach, a na ekranie zmienił się film pokazujący następną torturę, tym razem człowieka obdzierano ze skóry, drąc długie pasma z pleców.

- Żadna z nich mi nie odpowiada, przejrzałam już prawie wszystkie, prawdę mówiąc nie są zbyt ciekawe, choć ludzka pomysłowość wydaje się być w tej dziedzinie

nieograniczona. Jak bardzo ludzi pociąga torturowanie bliźnich! Nie mogę odgadnąć, z jakiego powodu, gdyż w istocie są one niezbyt widowiskowe.

- Może sami bardzo cierpieli i czuli się tak skrzywdzeni, że pragnęli, by sprawiedliwość była jawna i dotykalna.

- Masz z pewnością rację, ale te wszystkie tortury nie zapełnią mojego przedstawienia. Darcie pasów czy gotowanie w oleju trwa długo, lecz dramatyzm nie wzrasta w czasie, są one straszne od samego początku. Muszę znaleźć coś, co będzie się rozwijało, cofnijmy się głębiej w czas, średniowieczne męki były prostackie i grubiańskie, narzędzia mało precyzyjne. Chciałabym pokazać udrękę ciała i jednocześnie cierpienie duszy. Ci wszyscy skazańcy byli przestępcami, prymitywnymi zbrodniarzami, dręczącymi swe ofiary tak samo okrutnie, jak ich męczono, to nie wzruszy widza, nie przyniesie mu ekspiacji, oczyszczenia duszy, ludzie pragną przeżywać, a nie tylko czuć odrazę z powodu wypruwanych flaków, to mało estetyczne, zresztą, ileż by trzeba zamawiać sztucznych jelit, szukam czegoś zupełnie wyjątkowego, muszę się popisać, a zresztą, tworzę sztukę, a nie oglądaczkę dla pensjonariuszy więzienia, czy instruktaż dla potencjalnych przestępców.

- Ofiara musi być niewinna.

- Tak! W dodatku ktoś o czystym sercu.

- O szlachetnych celach.

- Słusznie! - przytaknęła. - Najlepiej, jakby chciał poświęcić się dla ludzi, nie wiem dokładnie, z jakiego powodu, ale musi być on wzniosły, coś takiego, że ten człowiek pragnie uratować wszystkich ludzi, ale absolutnie wszystkich, i to nie tylko wówczas, gdy go katowano, lecz i przyszłe pokolenia, nienarodzone dzieci i dusze bandytów. Powinien być bezinteresowny, dający, niczego nieżądający w zamian. Czy znasz taki fakt?

Obcy milczał, a kobieta przepatrywała zawartość twardych dysków komputera.

- Chyba mam! - rzekła spokojnie. - Był taki, i to podobno fakt historyczny. - Na ekranie wyświetliła się kolejna tortura. - Popatrz, to zupełnie niezłe. Bardzo dramatyczne i rozwija się w czasie, na pewno będzie punkt kulminacyjny. Zobacz, ile efektów! Właściwie, jest to świetny, gotowy scenariusz, przykroję go tylko do realiów Miasta, nie ma tu zastrzeżonych praw autorskich, jakiś anonimowy twórca. Właściwie, ten tekst i obraz należy do wszystkich i jest tak stary, że został zupełnie zapomniany. Opracowano go w najdrobniejszych szczegółach. Modre niebo, złoty kurz spod sandałów, tego człowieka nie widać, to świetne, doprawdy, tylko tłumy, pragną się zabawić, wygrażają pięściami, otwarte usta do krzyku, w oddali pagórek, dosyć wysoki i zupełnie gładki, wszystko będzie dobrze widać. Żołnierze w strojach z epoki wznoszą słup i przybijają poprzeczkę, dwóch wykuwa na kamieniu gwoździe, stukot młotków, niebo się lekko chmurzy, coś przesłania słońce, niesamowita atmosfera, nastrój groźnego oczekiwania, o, to nie jest zwykła kaźń, to coś więcej, pełne znaczeń, tłum milknie, nie wiadomo dlaczego, skazaniec już wspiął się na wzgórze, brutalnie zdzierają z niego koszulę - odwróciła się do mężczyzny leżącego wciąż na łóżku - zobacz, jak on klęczy, ty śpisz

dokładnie w takiej samej pozycji, przyglądałam się tobie poprzedniej nocy - odwróciła się ponownie do ekranu - pękami batów kaleczą mu plecy - umilkła nagle, zamyślona, już nie musiała sobie przypominać tego, co zaobserwowała, kiedy leżał odwrócony od niej z rękoma ponad głową skrzyżowanymi w nadgarstkach tak, jakby były okręcone sznurem.

- Podano mi parametry kandydata, który chce brać udział w widowisku - podjęła po chwili, nie patrząc na mężczyznę, który leżał obnażony, wspierając się na łokciu. - Znam wzrost, wagę, ale nie chciałam widzieć, jak wygląda, gdyż to ograniczałoby moją inwencję. - Znowu rzuciła szybkie spojrzenie na leżącego. - Właściwie on jest bardzo do ciebie podobny, mam na myśli tego kandydata, jak również tamtego, z historycznego widowiska, identycznie wychudzone ciało, mówisz, że przeszedłeś przez tereny objęte wojną, to niemożliwe, nikt tego nie dokonał, ale nie będę wścibska. Wiesz, czuję się, jakbym to ja Ciebie... - Palce osunęły się nagle z klawiatury, „och, powiedz, dlaczego to robisz”, chciała wykrzyknąć, ale nie miała odwagi się przyznać do swych przeczuc, takie zamiary obcego nie były przecież możliwe, nie miały w sobie logiki ani żadnego uzasadnienia, jakimi motywami mógłby się kierować. Ludzkość, Miasto, dać coś ważnego ludziom, coś im uświadomić, ale co, właściwie? Nie, przeczucia nie miały sensu.

- Muszę pracować, czas tak szybko leci, już północ, zaraz zapieje kur, co to właściwie znaczy, ktoś trzy razy się zaprze, nie mogę sobie przypomnieć - oparła głowę na dłoni - nie mogę sobie przypomnieć, to takie trudne. - Nie, to nie możesz być ty - i zaparła się po raz trzeci. - Zobacz, co się dzieje! Jakie czarne niebo, ludzie milczą, co oni zrozumieli, nic z tego nie pojmuję, głowa opada mu na piersi. Jeszcze tylko kilka scen, turbulencje w przyrodzie, jakby cały świat zmarł, oczekiwanie, cisza, tak, wielka cisza śmierci i jednocześnie nowych narodzin, początek, oczywiście, początek wszystkiego, poranek świata, jak późno, zaraz będzie wschód, trzeba to jakoś efektownie zakończyć, ale musi być ważne i zrozumiałe. Burza, oczywiście, musi nadejść burza i wielki deszcz, strugi wody lecą z nieba na ziemię, żywioły wykrzykują ludzkości swoją prawdę, oni nie umieją jej wyrazić, ale wiedzą, tylko ja nie rozumiem, przeczuję, może jestem jedną z tamtych kobiet, ale którą, nie mogę odgadnąć. Obmywający deszcz wciąż pada, woda łączy niebo i ziemię, jak w dniu stworzenia, czy był taki dzień, kto to powiedział, te stare historie są takie zagmatwane i pełne symboli, obmywający, czysty deszcz spłukuje wszystko, cały brud z ziemi i z duszy człowieka, błyskawica na koniec, niebo się rozwiera, dwie wielkie połówki żelaznych drzwi rozchylają się z szurgotem i to stamtąd płynie ta woda, która zmywa grzechy świata, jesteśmy niewinni i odtąd tak będzie zawsze. Koniec.

Jej ramiona opadły, głowa się pochyliła, oddychała ciężko, kosztowało ją to wiele. Na ekranie pojawił się niespodziewany obraz, wysoki mężczyzna o twarzy dziecka i jasnych włosach rozdzielonych nad czołem i spływających na ramiona, stał z pochyloną głową nad czymś, co wydawało się być rumowiskiem. Nie wiedziała, z jakiego programu wydobył się ten fragment filmu, komputery miały swoje tajemnice, ich struktura wewnętrzna, tak niejasna i ulotna, produkowała, być może, takie niespodzianki, zresztą

nie zawsze kupowała najlepsze programy renomowanych firm, może pozostały jakieś brudy, lecz najdziwniej wyglądała niezrozumiała i nielogiczna ozdoba pleców pięknego młodzieńca, dwa wielkie i białe skrzydła, nieprzypominające żadnego ze znanych ptaków, może łabędzia nieco, ale twórca dodał wiele, jakieś kłęby na początku i długie, miękkie pióra, niby anielskie włosy czy puch, drżące srebrem w blasku, bo nie było słońca, może one same wydzielały światło, co jest możliwe, technika animacji komputerowej ma ogromne możliwości. Zmęczona, już prawie świtało, przyglądała się nieco bezmyślnie, zbyt znużona, by się zdziwić lub szukać przyczyn.

Białe skrzydła nagle wybuchnęły wielkim płomieniem, białym ogniem, falując i drżąc leciały w niebo przezrzystym dymem. Zdawało się, że nie mają żadnego wpływu na młodzieńca i nie sprawiają mu bólu, to zimny, bezlitosny ogień, który sam się nie żarzy, lecz wszystko spopiela, młodzieniec nadal stał z pochyloną głową, ale ona nagle poczuła przerażenie, zupełnie niepojęte, bo oglądała przecież film, nie chciała, aby tamten z ekranu spojrzął na nią, bo może światło wypływa z jego źrenic, nie miało to dla niej żadnego sensu, patrzyła jednak, zbyt znużona by się zdziwić.

- Czy to ma sens? - zapytała mężczyznę leżącego wciąż na boku.

- Ma.

Pędzili wciąż na motorze obejmując się, opleceni ciasno ramionami i uda dziewczyny obejmowały chłopca w pasie. Już dawno zapomnieli o kierowaniu, o rządzeniu swoim losem, zresztą nie znali takich słów, i w ogóle nie czuli, co się stało, bak z benzyną nagle wybuchł ogniem, silny podmuch cisnął nimi w niebo, lecz oni wciąż się oplatali nie dbając ani o życie, ani o śmierć i upadli na coś miękkiego, może to była trawa.

Inne samochody wciąż pędząc i rycząc motorami, szalone i dzikie wpadły na kręcącego się wokół własnej, niezrozumiałej osi, czarnego, spalonego harleya; rozgrzane, wybuchały po kolei, grzebiąc i paląc wszystkich, których zawierały w sobie.

Jonasz otworzył oczy, ale zobaczył tylko ciemność, nie mógł podnieść ramion, by obmacać wszystko dokoła, czuł jednak, że jest uwięziony w ciasnej przestrzeni, przygniatały go martwe ciała, nie zdołał nawet uczynić wysiłku, by się spod nich wysunąć, pomyślał, że będziegnił, wciąż żyjąc.

Samochody płonęły, telewizja czuwała, po kilku minutach pojawili się reporterzy na helikopterach i szybkolotach, filmując z wielką prędkością, zrobili świetne ujęcia. Reżyser w skórzanej kurtce i poszarpanych spodniach stał w rozkroku i wrzeszczał przez ręczny wideofon, nie zapominając o interesach i pieniądzach, więc od razu skontaktował się ze swoją złotooką sekretarką.

Wideofon zadzwonił, lecz ona, nie mając siły się podnieść, nacisnęła tylko klawisz komputera i na ekranie pojawiła się twarz pięknej sekretarki, bardziej wypielegnowana niż zwykle, jej właścicielka nie miała życiorysu ani problemów, była niby automat bez uczuć, wykonywała rozkazy.

- Przedstawienie odwołane, kredyt cofnięty. Jeśli go nie zwrócisz, pozwiemy cię. - Ekran oślepl i kobieta niczego nie widziała, mimo że oczy nawet nie zaszyły łzami, tylko ciemnością, na ekranie młodzieniec wciąż płonął, teraz podniósł głowę, by naznaczyć czoło kobiety.

Pomyślała sobie, że człowieczeństwo kobiet jest trudniejsze, ale nie umie inaczej. Kiedy obróciła głowę, jej łóżko było już puste.

Strażnik przy bramie wahał się, czy ją otworzyć i wypuścić nieznanego z Miasta.

- Jeszcze się nigdy nie wydarzyło, by ktoś odszedł z własnej woli - powiedział, patrząc w niebieskie oczy obcego.

- Otworzę bramy, otworzę wszystkie bramy, tak dalej być nie może.

Miasto stało w oddali, otoczone murami, zasnuwane dymem. Obcy siedział na kamieniu rozpinając buty, kiedy skończył tę czynność, nie opodal pojawił się brodaty starzec, który szedł z wysiłkiem, prowadząc gromadę wynędzniałych dzieci wojny, wywiódł je wszystkie i ocalił - dla samotnych kobiet i dla mężczyzn pijących w barach.

Jego stopy były pokaleczone i bose, zdarł niejedne buty, więc pewnie by już nie mógł przejść tych paru kilometrów, które go dzieliły od Miasta. Biorąc buty od obcego, powiedział:

- Odchodzisz, panie?

- Tak.

- Czy to nie jest to miasto?

- Jest.

- Czy to nie jest ten czas?

- Jest.